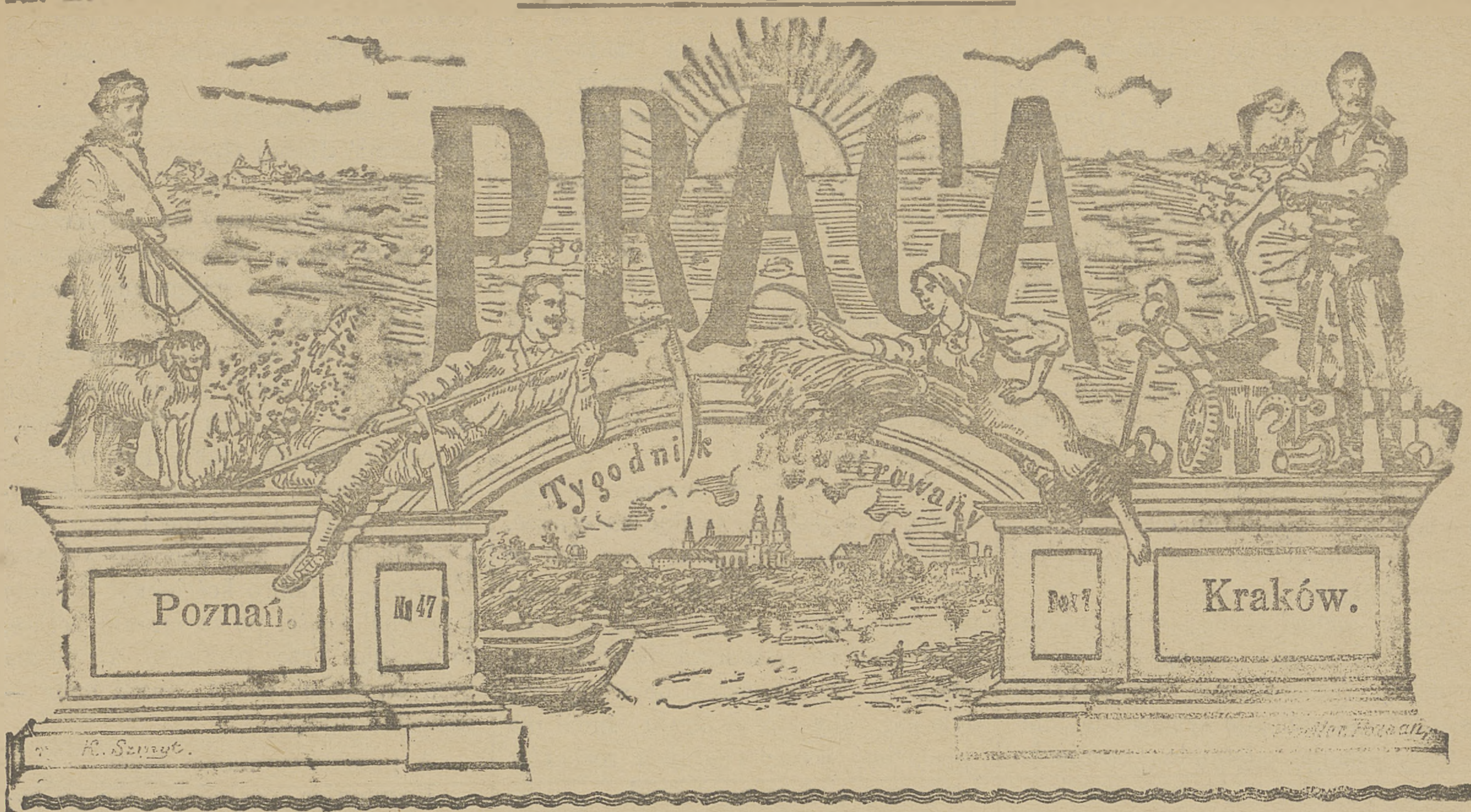
Nr. 47. Poznań, dnia 22 go listopada 1903. Rok VII.



Treść nr. 47-go.

Dział polityczny: Kordecki. — Oświata ludu — dokaże cudu. — Troska o dzieci nasze. — Z tygodnia. — Przegląd prasy. — Głosy od przyjaciół: *(Korespondencya Z obczyzny.)* — Od wydawnictwa. — Zaproszenie na wiec w Elberfeldzie.

Felieton: Z literatury i sztuki.

Dział illustrowany: Z ojczystych stron: Machnówka.— Walka o majorat. — Jeden uśmiech. *(Wiersz).* — Wspomnienia z niewoli moskiewskiej 1863-go. r. *(Ciąg dalszy.)* — Moja legenda. *(Wiersz).* — Los śmierci. *(Dokończenie).* — Zaproszenie do przedpłaty. — Wiadomości. — Zmarli. — Ruch w Towarzystwach. — Od Redakcyi. — Humorystyka. — Dział kobiecy. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dział powieściowy. *(Śpiewaczka ludowa. Arkusz 23-gi. Ciąg dalszy.)*

Illustracye: Albumowa: Toast weselny. — Przed kościołem w Machnówce. — Okolica Machnówki. — Wieś Medwedówka. — Widok Machnówki z drogi Wujszyńskiej. — Nowo wznoszony kościół w Machnówce. — Brzegi Hnyłopiatu w okolicach Machnówki. — Na rynku w Machnówce. — Kościół w Machnówce. — Targ w Machnówce. — Typy machnówieckie.— Cztery illustracye z procesu o podrzucenie dziecka do artykułu p. t. „Walka o majorat.“

Kordecki.

Ku uczczeniu 300-ej rocznicy urodzin O. Augustyna Kordeckiego zamieścił „Kuryer Warszawski“ następujący bardzo znamienny artykuł mistrza Sienkiewicza:

„„Mimo dość tępej głowy, spostrzegł w końcu szwedzki jenerał, o co księdzu Kordeckiemu chodziło, że więc nie o owo gniazdo skaliste, nie o Jasną Górę, nie o skarby nagromadzone w zakonie, nie o bezpieczeństwo zgromadzenia, ale o losy całej Rzeczypospolitej. Spostrzegł Müller, że ów cichy ksiądz wiedział co czynił, że miał świadomość swojej misyi, że powstał jak prorok, aby zaświecić krajowi przykładem, by potężnym głosem zawołać na wschód i zachód, na północ i południe: *Sursum corda!* — by, czy to zwycięstwem, czy śmiercią i ofiarą obudzić śpiących ze snu, odkupić grzesznych, uczynić światło w ciemności.“

Tak pisałem ongi w „Potopie.“ Przedtem jeszcze mówił Mickiewicz, że Kordecki był jednym z takich ludzi, których Opatrzność zsyła co czas jakiś na wzór dla przyszłych pokoleń. Ale wielu czytelnikom nasuwały się może wątpliwości: czy było tak istotnie? Ta biała postać, z krzyżem w ręku, na murach spowitych w dymy, stała się z czasem jedną z takich cudownych legend narodowych, wykwitających, jak róże, na niwie historyi. Gdy jednak zimna i niemiłosierna dłoń krytyki pocznie obrywać płatki takich róż, trafia się często, że nic zostaje z nich nic, prócz marnych szarych łodyg.

Jakże więc było z Kordeckim? Czy istotnie ten nieznany nikomu zakonnik miał świadomość swego posłannictwa, czy powiedział sobie wyraźnie, że chce ratować cały naród — i że może to uczynić zarówno, gdy zwycięży, jak i gdy zginie? By odpowiedzieć na te pytania, należy rzucić okiem na tę tragedyę dziejową, w której rok 1655 był zarazem i szczytem, i przełomem.

Trudno zaiste obronić się uczuciu wstydu i upokorzenia, gdy się wspomni, że prawie niema w historyi przykładu, aby nieprzyjaciel zewnętrzny, obcy krwią i wiarą, napadłszy jakiś kraj sąsiedni, zawojował go rękoma jego własnych synów. Tak jednak stało się za Jana Kazimierza w Polsce. Pod Ujściem Wielkopolska przeszła do Szwedów; Radziwiłłowie birżańscy poddali Karolowi Gustawowi Litwę. Wkrótce potem województwa: krakowskie, sandomierskie, ruskie, lubelskie, wołyńskie, bełskie i kijowskie, podpisały akt poddańczy. Opuścili ojczyznę i własnego króla magnaci; pokłoniła się zdobywcy większa część dygnitarzy koronnych, zaprzysięgli mu wierność hetmani, przeszło na jego stronę wojsko i prawie wszystka szlachta.

Niewola była dobrowolna, hańba również. Nie mogę się oprzeć chęci przytoczenia jeszcze słów, które w „Potopie“ włożyłem w usta Weyharda Wrzeszczowica, a które wówczas mogły się wydawać wszystkim postronnym straszliwą prawdą: „Że ten naród ginie, nie warto się o to troszczyć więcej od niego samego... Co

tu za rząd? Król nie rządzi, bo mu nie dają. Sejmy nie rządzą, bo je rwą. Niemasz wojska, bo podatków płacić nie chcą; niemasz posłuchu, bo posłuch wolności się przeciwi; niemasz sprawiedliwości, bo wyroków niema komu egzekwować; niema w tym narodzie wierności, bo oto wszyscy pana swego opuścili. Niemasz miłości ojczyzny, bo ją oddali szwedowi za obietnicę, że im w dawnej swawoli żyć nie przeszkodzi. Co oni mają?... Niechże mi kto choć jedną cnotę wymieni: czy stateczność? czy rozum? czy wytrwałość? czy wstrzemięźliwość? Kto ich chce ratować, ten tylko czas próżno traci, bo oni się sami nie chcą ratować. Jeno szaleni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują!!"

Co oni mają? Mieli jeszcze coś nawet i w tej epoce upadku, o czem nie wiedział Wrzeszczowic, a wiedział ksiądz Kordecki. Ale tymczasem mieli tylko hańbę. Istniało proroctwo świętej Brygidy, w którem współcześni odczytywali z przerażeniem następujące słowa: „Zbliży się sąd mój i pozostawi państwo w utrapieniu — i stanie się jako napisano: rozkosz sieją, a utrapienie i boleść odmierzą. Nietylko nawiedzę to królestwo, ale miasta bogate i możne, albowiem przywołano głodnego, który dostatki ich pożre. Nie zbraknie zła wewnętrznego i obfitować będą niezgody. Panować będą głupi, a mędrce i starcy nie podejmą głowy. Cześć i prawda upadną, aż przyjdzie, który gniew mój przebłaga i który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy." — Powtarzano to proroctwo, jak szeroka i długa Rzeczpospolita, ale tego, że ów, który miał przebłagać gniew Pański i duszy nie oszczędzić — zjawił się już w narodzie, nie domyślał się i nie podejrzewał nikt. Upadła nadzieja i omdlały serca. Cała olbrzymia kraina legła u stóp Karola Gustawa: jego były ziemie i morza, jego województwa, miasta, wsie, pola i bory; pod jego wodzą mieli odtąd wojować ci skrzydlaci żołnierze, których ojcowie roznosili dotychczas na szablach i kopytach sześćkroć liczniejsze zastępy szwedzkie!

A w tem od Karpat do Bałtyku gruchnęła wieść, że Jasna Góra broni się szwedom.

Zdumieniu, które ogarnęło upadły naród, dziś jeszcze trudno się oprzeć. Ludzie poczęli przecierać oczy, jak ze snu. Nikt wprawdzie nie przypuszczał przedtem, by nieprzyjaciel chciał podnieść rękę na narodową świętość, ale jeszcze mniej podobnem do wiary wydało się, aby ktoś w kraju śmiał nie posłuchać wszechwładnych rozkazów i odpowiedzieć na nie z dział.

Jakto? Z jednej strony groźna i zwycięzka potęga, świeżo wyolbrzymiałe największe państwo w Europie — z drugiej mała klasztorna twierdza! Z jednej strony dawno niewidziany w świecie potentat: król szwedów, gotów, wandalów, wielki książę Finlandji, Estonji, Karelji, Bremy, Werdy, Szczecina, Pomeranji, kaszubów, książę Rugji, pan Ingrji, Wismarku i Bawarji, palatyn reński, pan Juljahu, Kliwji, Bergu, a przytem od niedawna, — nieukoronowany wprawdzie jeszcze, ale uznany i faktyczny król polski, w. ks. litewski, pruski, mazowiecki, ruski, kijowski, czernihowski etc., etc., etc.; z drugiej cichy — przeor białych mnichów!

Z jednej strony tysiące najbitniejszych w świecie żołnierzy, z drugiej, prócz księży, niespełna dwieście załogi.

A jednak ksiądz Kordecki postanowił bronić Jasnej Góry.

Dlaczego?

Czy może chodziło mu naprawdę o Cudowny obraz, o skarby nagromadzone w kościele, o drogocenne wota, o dostatki klasztorne?

Nie. Niektóre świadectwa twierdzą, że obraz został przed oblężeniem wywieziony. Granica śląska biegła w owych czasach, jak i dziś, o kilkadziesiąt stajań, łatwo więc było wywieść i skarbiec, srebrne i złote wota i pieniądze. A jeśli chodziło o całość klasztoru, o dobro kościelne, o stada i przynależności po za murami leżące, to właśnie przez poddanie się można było wszystko ocalić, przez opór — wszystko utracić.

A przedewszystkiem życie.

Rozumując, po ludzku, nie po bohatersku i nie po męczeńsku, bezpieczniej było się poddać, lub odbieżawszy klasztoru, umknąć na Szlązk, niż bronić się i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — zginąć.

Człowiek tej wiary, co Kordecki, mógł wprawdzie spodziewać się cudów, ale nie mógł na nie liczyć z pewnością, albowiem woli Bożej nie wolno mu było przesądzać. Wszak wiadomem mu było, że w r. 1424 klasztor i obraz dostały się w moc husytów, którzy nie oszczędzili świętego wizerunku. Mógł przeto spodziewać się również, że z klasztoru i kościoła zostaną tylko zgliszcza, a on sam wraz z bracią zakonną i z tą garstką szlachty i kmieciów zginie pod stosem gruzów.

Z literatury i sztuki.

Ks. Leon Jungowski, korzystając z uczynności o. przeora Rejmana, wydobył z archiwum klasztoru na Jasnej Górze rękopis łaciński, opisujący w treściwych wyrazach żywot o. Augustyna Kordeckiego, i obecnie, z powodu trzechsetnej rocznicy urodzin wielkiego obrońcy klasztoru oo. Paulinów w Częstochowie, ogłosił go drukiem w oryginale i w przekładzie polskim.

Książeczka, wydana staraniem „Biblioteki dzieł chrześcijańskich," nosi tytuł *„O. Augustyn Kordecki, według rękopisu niewydanego na Jasnej Górze przechowywanego;"* zdobią ją dwie ilustracye: wizerunek cudownego obrazu N. Maryi Panny, i postać Kordeckiego, reprodukowana z oryginału, znajdującego się w klasztorze na Jasnej Górze.

Za wydanie tego dokumentu należy się podzięka szan. tłómaczowi, żałować tylko należy, iż do książeczki dodano ryciny jak najgorzej wykonane.

* * *

Opuściło prasę *studjum historyczne Władysława Smoleńskiego* p. t. *„Konfederacya targowicka." Kraków, 1903.*

Studjum Smoleńskiego oparte zostało na poważnym materyale źródłowym, który starannie i pracowicie odszukany został w wielu zbiorach, czy archiwach, publicznych czy prywatnych. Na podstawie bogatego materyału autor odtworzył pełny obraz działalności konfederacyi targowickiej i scharakteryzował ściśle oraz gruntownie główniejszych jej twórców.

W pracy Smoleńskiego znajdują się szczegóły, rzucające jasne i piękne światło na charakter księcia Józefa. W ogóle praca Smoleńskiego, poświęcona Targowicy, przedstawia się niezwykle interesująco. Nietylko treść bogata i sąd wytrawny poleca ją społeczeństwu, ale i język piękny i jędrny, a pozbawiony jaskrawości efektownych, czyni opowieść historyczną zajmującą, jasną i przystępną. We wstępie autor objaśnił, że nie daje pełnej historyi Targowicy, jest więc nadzieja, że ją niezadługo dokończy i przy tej sposobności oceni działalność ostatniego sejmu rzeczypospolitej w Grodnie. Tym sposobem zamknie autor epokę, nie wesołą wprawdzie, ale dotąd nie zbadaną, ani opracowaną należycie. Niewątpliwie też studjami swemi przyczyni się do dokładniejszego poznania owej epoki i zaskarbi sobie w pełni uznanie i wdzięczność swego społeczeństwa.

Więc na wszystkie „dlaczego?“ jest tylko jedna odpowiedź. Wiedział, co robi i był gotów. Wśród powszechnego zwątpienia on jeden nie zwątpił o narodzie, albowiem czuł, że przy wszystkich grzechach i występkach zostało temu narodowi jedyne nie zamarłe dotychczas uczucie: ogromna, niezgłębiona miłość ukochanej Patronki.

Szwedzi nie znali polskiego narodu. Dla nich Częstochowa była tylko lichą twierdzą. Kordecki, który go znał — wiedział, że ciało tego odrętwiałego olbrzyma można siec i szarpać, jak się podoba, ale jest jedno miejsce, w które niewolno go ukłóć bezkarnie, bo zawyje z bólu i zerwie się do okropnej walki — a miejsce to zwie się Jasna Góra.

Gdyby jej był odbieżał, lub oddał dobrowolnie, nie byłoby zamachu, więc postanowił jej bronić do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia, aby rozpętać olbrzyma i rozpalić wojnę na śmierć i życie, olbrzymią, rozlewną, jak pożar.

W ten tylko sposób można wytłómaczyć sobie jego postępek, który sami nawet obrońcy Częstochowy uważali za szalony. Tego chciał, do tego dążył. Krytyka może stanąć przed nim zdumiona, jak przed nadzwyczajnem zjawiskiem, ale niczemu nie może zaprzeczyć, niczego ująć, niczego zmniejszyć. Wśród ponurej nocy dziejowej zjawił się słup ognisty. Wstał w narodzie „ten, który duszy nie oszczędził,“ jak w swoim czasie wstała we Francji Joanna d'Arc. Poczuł się wybrańcem bożym, więc wziął krzyż i wyszedł bronić tej ostatniej skały, której nie pochłonęły jeszcze fale potopu.

I oto widzimy go z tym krzyżem na murach dygocących od huku dział — wśród świstu kul, wśród szczęku mieczów i kos, wśród kłębów dymu — widzimy go w nocy i w dzień. Gdzie jeno zesłabną serca ludzkie, gdzie omdleją ręce i duch, tam wnet zaświeci jego biały habit i jego twarz wychudła, bezsenna, ale natchniona. Będzie on walczył z mocą wroga i ze słabością swoich, z jednakiem wytrwaniem, bez jednej skargi. Dopiero po zwycięstwie, gdy z ust wyrwie mu się ku niebu tryumfalne *Te Deum* — rozszlocha się jego anielska pierś od wezbranej radości, a z oczu spłyną mu potoki łez dziękczynnych...

Henryk Sienkiewicz.

„Oświata ludu — dokaże cudu!“

„Oświata ludu dokaże cudu!“ Dokazała go ona już pod niejednym względem w zaborze pruskim. Lud nasz, znacznie oświeceńszy niż lud w Galicyi i w Królestwie, podnosi się bezustannie moralnie i ekonomicznie, okazuje coraz gorętsze poczucie narodowe i zrozumienie dla swych narodowo-społecznych obowiązków i bierze coraz żywszy udział w sprawach publicznych. Obok wspólnej niedoli przedewszystkiem *oświata* to sprawiła, że u nas znikła już prawie zupełnie dawna nieufność i nienawiść ludu do klas tak zw. „wyższych“, mianowicie do szlachty, wytworzona kilkuwiekowemi nieszczęsnemi stosunkami społecznemi w Rzeczypospolitej, nienawiść, z którą w *Galicyi* i w *Królestwie* spotykają się nawet najlepsze żywioły szlacheckie, o którą tam rozbijają się wszelkie usiłowania uobywatelnienia ludu. Walka, jaka dziś toczy się *u nas* między obozem konserwatywnym a *ludowym*, *nie jest bynajmniej walką klasową*, stanową, lecz walką o *zasady, o nowy program polityczno-narodowy* dla *całego* społeczeństwa. W walce tej nasz lud bez cienia podejrzliwości, ba, z otwartemi rękami przyjmuje do szeregów swoich przedstawicieli stanu szlacheckiego, którzy piszą się na nowy program, co więcej, chętnie oddaje im i powierza nawet najwybitniejsze stanowiska, jakie siłą swych praw ma do rozdania. Pokazało się to dobitnie właśnie podczas walki wyborczej i wyborów do parlamentu niemieckiego, a stwierdził to i ostatni ruch wyborczy.

Tak! śmiało powiedzieć możemy, że pod tym względem stoimy już „o całe niebo wyżej“ od Królestwa i Galicyi — ale mimo tej naszej wyższości daleko nam jeszcze do wyżyny, którą by uważać można za *idealną*, a chociażby tylko za *dostateczną* do zapewnienia dalszego pomyślnego rozwoju naszego społeczeństwa. Jeszcze *nie cały* lud nasz jest należycie uświadomiony, jeszcze znaczne masy nie posiadają dostatecznego zrozumienia swych praw i obowiązków politycznych i społecznych, jeszcze nie wiedzą jaka w nich tkwi żywiołowa *siła*. Całe zastępy takich nieuświadomionych napotkać zaś można nietylko wśród ludu wiejskiego, ale także wśród *miejskiego*, mianowicie małomiejskiego ludu naszego, nie wyjmując nawet tak zw. klas *średnich*. Jest więc u nas pod tym względem tylko *lepiej*, znacznie lepiej, niż gdzieindziej, lecz niestety, *jeszcze nie zupełnie dobrze*.

A dopóki nie będzie u nas w tym

Iliada Wyspiańskiego. Homerowej Iliady: Pomór — Gniew. Tekst grecki opracował Leon Sternbach, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako tekstu polskiego użyto parafrazy poetyckiej Juliusza Słowackiego z r. 1846. Tłumaczenie to pierwszej księgi od wiersza 1—492, przytoczono z tomu I. dzieł pośmiertnych, wydanych przez dra A. Małeckiego we Lwowie 1885 r. Ilustracye w liczbie jedenastu rysował Stanisław Wyspiański. Wydał tenże. Kraków w drukarni uniwersyteckiej. Nakład księgarni Altenberga. Lwów 1903. Oto jest pełny tytuł bibliograficzny nowego, a w całem tego słowa znaczeniu artystycznego wydawnictwa, które świeżo pojawiło się w obiegu księgarskim. Krakowski „Czas“ pisze o niem słusznie, iż jest ono „zdarzeniem literackiem“ i „arcydziełem sztuki drukarskiej.“

Pisma Z. Krasińskiego zaczęły wychodzić we Lwowie w pierwszem krytycznem wydaniu nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Redakcyę objął zaszczytnie znany badacz literatury dr. Tadeusz Pini w porozumieniu z rodziną poety. Słowo wstępne i biografię poety napisał dla tego wydawnictwa bibliotekarz ordynacyi Krasińskich, prof. dr. J. Kallenbach. Tomu pierwszego, obejmującego utwory od 1833 roku do 1837, wyszedł właśnie zeszyt I. (początek „Nieboskiej komedyi“). Całość zawarta będzie w 8 tomach.

* * *

Nadzwyczajny koncert warszawskiej Filharmonii, poświęcony dziełom muzyki historycznej polskiej z XVI-go do XIX-go stulecia, należał niewątpliwie do najbardziej interesujących, jakie się odbywały w grodzie Syrenim w bieżącym sezonie, a główna to zasługa p. Aleksandra Polińskiego, który nie tylko, że nakreślił plan koncertu, lecz prócz tego dał jeszcze ze swoich zbiorów odpowiedni materyał.

Koncert był urządzony ściśle historycznie, a więc szesnasty wiek reprezentowali Marcin Lwowczyk, Wojciech Długoraj, Mikołaj Gomółka, Wacław z Szamotuł i Marcin Łaski; siedmnasty — Mikołaj z Krakowa, Mikołaj Zieleński, Marcin Milczewski, Grzegorz Gorczycki, Wojciech Białecki, Józef Podbielski i kilka tańców nieznanych autorów; ośmnasty — Maciej Kamieński i Józef Kozłowski, a wreszcie dziewiętnasty — Moniuszko i Szopen.

* * *

Młody kompozytor Feliks Nowowiejski. Warmiak przebywający obecniew Rzymie, laureat konkursu imienia Meyerbeera i Paderewskiego, napi-

kierunku „zupełnie dobrze“, dopóty jeszcze nie możemy też być *zupełnie* spokojni o przyszłość naszą, dopóty o *jednolitej*, a skutecznej akcyi obronnej u nas nie może być mowy, dopóty przykre niespodzianki nie będą wykluczone. Potrzeba więc jeszcze w tym kierunku *ogromnej, energicznej, świadomej celu a wytrwałej pracy, potrzeba niemałych nakładów i wysiłków.*

Był czas, gdyśmy dzielnie pracowali na tem polu — mianowicie przez nasze „*Towarzystwo Czytelni ludowych.*“ Przyznać trzeba bez zastrzeżeń, że zdziałało ono dużo, że dzisiejszy stopień oświaty ludu u nas w niemałej mierze jego jest zasługą. Tem bardziej ubolewać trzeba, co więcej, uważać to trzeba za objaw bardzo *niepomyślny*, że w pracy i działalności tego „Towarzystwa“ nastąpił *zastój*, pewien *marazm, graniczący z zupełnem* jakoby *zniechęceniem.* Towarzystwo skarży się, że niema środków do szerszej, energiczniejszej i rozleglejszej akcyi, a rzecz dziwna, skoro zawsze do ofiar na cele publiczne społeczeństwo nasze *nie spieszy mu z pomocą.*

To zmienić się musi, jeżeli nie chcemy narazić się na dotkliwe niepowodzenia, na nowe przeszkody w walce o nasze prawa, o naszą narodową egzystencyą. Jeźli kiedy, to dziś właśnie wprost nakazaną jest energiczniejsza praca na tem polu. Nietylko bowiem ataki *rządu* i *hakaty* na naszą narodowość, zwłaszcza zaś na poczucie narodowe naszego ludu stają się coraz gwałtowniejszemi, coraz intenzywniejszemi, ale nadto podwoił swe zakusy także drugi wróg narodowości: *socyalizm.* Nie braknie już licznych dowodów wielkiego zamieszania pojęć u ludu naszego w niektórych okolicach, zamieszania, wynikającego właśnie z braku zdrowej oświaty ludowej wobec tych ataków obu nieprzyjaciół. Cóż będzie, co się stanie, co nas *czeka*, jeżeli i nadal pozostaniemy bezczynnemi na tem polu, jeżeli energiczniej nie będziemy się starali o tę podstawę, która *cudów* dokazuje, gdy się o nią dba należycie?

Popatrzmy tylko na *Niemców!* Oni mają do dyspozycyi niezmiernie ważny, jeźli nie najważniejszy środek szerzenia oświaty: *szkołę ludową* i szkołę wyższą. A jednak nie poprzestają na działaniu za pomocą tego tylko środka, jakkolwiek szerzy on nietylko ogólną oświatę, ale i patryotyzm niemiecki ba nawet *szowinizm.* Co chwilę czytamy w pismach niemieckich wiadomości o zakładaniu niemieckich *czytelni ludowych*, o urządzaniu odczytów i *wykładów ludowych*, lub „wieczorków“ dla ludu. Ostatniego zwłaszcza środka chwyta się dziś hakata i rząd z wielką skwapliwością, mianowicie w polskich wsiach *śląskich*, ale także już i u nas w Księstwie. Snać władze nabrały przekonania, że szkoła *sama* w tym kierunku *nie wystarcza.* Że zaś nie wystarcza rzeczywiście, na to dowodem także *Galicya*, gdzie mimo szkół *polskich* poziom *narodowej* oświaty podnosi się bardzo wolno.

Świeżo odbyło się w *Berlinie* walne zebranie *niemieckiego Stowarzyszenia dla oświaty ludowej:* „*Gesellschaft für Verbreitung von Volksbildung.*“ Z przedłożonego na tem zebraniu referatu Zarządu dowiadujemy się, że to Stowarzyszenie założyło w roku 1902 aż 1824 bibliotek czyli czytelni ludowych z *59.634 tomami*, w tej liczbie 308 bibliotek „*wędrownych,*“ przesyłanych z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, ze wsi do wsi. Od roku 1892 — w którym to Towarzystwo powstało, założono kosztem *190,106* marek przeszło 5000 (pięć tysięcy) czytelni z 200,000 dzieł i broszur. Dowiedzieliśmy się dalej, że *większą część tych czytelni* założono w „*dzielnicach wschodnich,*“ a więc *u nas.* Jak wielką zaś wagę przywięzuje do usiłowań tego stowarzyszenia *rząd*, na to dowodem to, że wspiera je rocznym datkiem 20,000 mrk., dalej, że ministerstwo oświaty przysłało reprezentanta swego na walne zebranie.

Jakże marną i drobną jest wobec tych cyfr *nasza* działalność w tej ważnej dziedzinie. My zaś mamy wszelki powód, aby *więcej* niż rząd i hakata działać w tym kierunku. My nietylko nie mamy *szkoły do dyspozycyi*, ale ta szkoła działa *we wrogim wprost dla nas duchu.* Nietylko bowiem zatruwa umysły i serca dziatwy naszej pod względem narodowym, ale, przy dzisiejszym niepedagogicznym swym systemie nie daje dziatwie naszej nawet podstaw *ogólnej oświaty*, tak potrzebnej *dla ekonomicznej walki o byt.* My oświatę wśród ludu *sami* krzewić musimy, my nadto musimy *naprawiać zło*, jakie system antypolski rodzi dziś wśród naszego ludu.

Biada nam, jeźli nie otrząśniemy się rychło z apatyi naszej i nie zaczniemy pracować energiczniej pod tym względem. Nie chcemy podnosić zarzutów, ale mamy wrażenie, jakoby obecny *Zarząd* naszego *Towarzystwa Czytelni ludowych* już nie posiadał dawniejszej energii, dawniejszej sprężystości — dalej jakoby społeczeństwo już — może właśnie z tego powodu,

---

sał *oratoryum p. t. „Quo vadis,“ osnute na tle powieści Sienkiewicza.* Nowowiejski był przez krótki czas organistą w Olsztynie, a potem w Berlinie. Przewodnią myślą nowego utworu jest tryumf chrześciaństwa nad pogaństwem, osiągnięty przez miłość. Dwie zwłaszcza sceny noszą na sobie piętno niezwykłe głębokie. Pierwszą z nich jest chwila, w której organy wszystkiemi głosami uwydatniają zwycięstwo Kościoła. Głosy te rozwijają się na motywie gregoryańskim „Deo gratias“. Druga kulminacyjne scena odtwarza chwilę objawienia się Chrystusa Pana św. Piotrowi: cztery wiolonczele, zastąpione dalej przez skrzypce, w zakończeniu dzieła, dają melodyjne uzmysłowienie uczuciu miłości, ogarniającemu wszystkich.

W krakowskim teatrze wystawiony ma być niebawem cykl jednoaktowych dramatów wierszem, *p. Włodzimierza Lewickiego, p. t. „O inne życie.“* Oto tytuły utworów, składających ten cykl: „Pieśń,“ „Południca,“ „Vigilando“ i „Ku szczytom.“ Ideą tych sztuk jest walka pomiędzy dążeniem ku różnorodnym ideałom życia duchowego i fizycznego a rzeczywistością, która ,sama tylko stanowiąc treść życia, łamie jednostki sięgające myślą i pragnieniem zbyt wysoko. W sferach literackich Krakowa niezwykła ta premiera budzi żywe zainteresowanie; autor, głośny w Krakowie dziennikarz i adwokat, nie pierwszy już raz próbuje swoich sił w twórczości dramatycznej. Dramat jego „Błędne gwiazdy,“ odznaczony na konkursie im. Paderewskiego, grany kilka lat temu w Krakowie, zyskał uznanie krytyki i zapowiadał pisarza o szerszych widnokręgach i niepospolitym talencie.

Pierwsze przedstawienie dla dzieci urządził teatr ludowy we Lwowie we czwartek 12 listopada. Na zajmujący program złożyły się dwie komedyjki ze śpiewami Bolesławicza „Dowcipny Kubuś“ i „Fraucymer Anny Jagiellonki“ i komedyjka St. Dydyńskiego „Łakomca.“ Zakończył obraz z żywych osób. Przemówienie wstępne wygłosił uproszony p. Władysław Bełza.

* * *

Pani Walerya Niewiarowska zasłużona artystka warszawskiego teatru Rozmaitości, święciła *pięćdziesięciolecie swej pracy scenicznej.* Sędziwa artystka wystąpiła po raz pierwszy w Rozmaitościach 11 listopada 1853 roku w dramacie „Niemowa“, jako panna Walerya Łapińska.

—ski.

nie miało do niego dawnego zaufania, i że tem właśnie tłomaczy się smutny fakt zmniejszania się ofiarności dla Czytelni ludowych. Jeżeli tak jest, to należy oddać kierownictwo Towarzystwa w *inne,* sprężystsze ręce. Dotychczasowi kierownicy może się już zużyli i znużyli; dziwnem by to nie było, bo *dużo, bardzo dużo pracowali przez cały szereg lat,* co z uznaniem podnosimy. W takim atoli razie trzeba wprowadzić do Towarzystwa *świeże siły.*

Dalej nie należy poprzestać na zakładaniu *Czytelni,* ale także za przykładem Niemców *innych chwytać się środków. Społeczeństwo* powinno się zdobyć na środki ku utrzymywaniu chociażby dwóch *lektorów* stałych, którzyby jeździli od miasta do miasta, od wsi do wsi i urządzali również *wieczorki i pogadanki* dla ludu z odpowiedniemi wykładami. Niemieckie Towarzystwo oświaty ludowej działa także za pomocą *wypożyczalni pouczających obrazów świetlanych,* co naśladuje obecnie również polskie *„Towarzystwo oświaty ludowej" w Krakowie.* I nam by się takie wypożyczalnie przydały celem zainteresowania i pouczania ludu.

Środków nie braknie, tylko *energii ofiarności i pracy potrzeba.* — A działać trzeba, bo inaczej — *źle będzie z nami!!*

Ordon.

Troska o dzieci nasze.*)

I.

Środki skierowane ku wyniszczeniu w Prusach polskości w trzech mianowicie objawiają się kierunkach: a) w dążeniu do nadania dzielnicy naszej na zewnątrz piętna wyłącznie niemieckiego, b) w zabiegach o pochłonięcie polskiej własności ziemskiej, i c) w nieugiętym systemie szkolnym ku zniemczeniu dzieci naszych.

Co do pierwszego, to społeczeństwo nasze zdołało dotąd, z pomocą Bożą, przeciwstawić odpowiednią ilość energii odruchowej zapędom hakatystycznym, — jak tego wynik ostatnich wyborów najlepszym dowodem.

I co do utraty ziemi, to widoczną jest praca nad utrzymaniem tego, co się jeszcze da; a budzące się ogólnie siły dorobkowe dodają otuchy, iż się przy ziemi naszej utrzymamy.

Lecz najmniej odpornem okazało się dotąd społeczeństwo polskie na wysiłki germanizacyjne naszego młodego pokolenia!

Znając z bliska to niebezpieczeństwo, chciałbym je uprzytomnić społeczeństwu, a „duchy śpiące" obudzić.

II.

Dziatwa nasza przez ośm lat szkolnych skazaną jest (z wyjątkiem coraz bardziej niknącej liczby szkół z polskim wykładem religii św.) na niemiecki język wykładowy we wszystkich przedmiotach. A więc uczą się dzieci nasze w szkole tylko po niemiecku: czytania, pisania, religii świętej, rachunków, historyi powszechnej i naturalnej, geografii, fizyki, śpiewu, nawet robótek ręcznych.

Szkoła takiego systemu politycznego, a nieraz i policyjnego, czyż może wpływać dodatnio na uczucia naszych dzieci, na ich wychowanie?! Więc cóż daje ten „przymus" szkolny? Oto z wielkim trudem nauczyciela i uczniów wymusza się niejako mechaniczne i połowiczne poznanie języka niemieckiego, który, przy rozmyślnem unikaniu assocyacyi wyrazów niemieckich ze znanemi już dziecku wyrazami w ojczystym języku, dalej w braku dostatecznego urobienia i umocnienia pojęć na podane przez nauczyciela niemieckie wyrazy, szybko z pamięci dziecka po opuszczeniu szkoły się ulatnia, pozostawiając po sobie pustkę w umyśle i sercu. Cóż znaczy zresztą ten zasób kilkudziesięciu może pozostałych jeszcze w pamięci wyrazów niemieckich na pojęcia konkretne? Przecież pojęcia abstrakcyjne „drylem szkolnym" tylko powierzchownie zasiać można! Więc też myślenia w języku niemieckim dzieci naszych szkoła nie nauczy. Pod tym względem ogromna ta praca idzie na marne.

Za to pomyślmy sobie, jaką szkodę ponoszą dzieci nasze, gdy w najdogodniejszym wieku nie nauczą się czytać i pisać po polsku, gdy zasad wiary świętej i pojęć religijnych nie poznają i nie odczują we własnym ojczystym języku, gdy nie nauczą się rachować po polsku, ani żadnej polskiej piosenki, gdy nie poznają nazw polskich na kraje, rzeki, miasta, kopaliny, rośliny, zwierzęta, gdy im tylko z krzyżacka zabarwione okruchy podadzą z historyi kraju rodzinnego!

Straszna dola dzieci naszych, ale straszniejsza ta pustką w ich duszach! I czyż można się dziwić, iż niejedno serduszko dziecięce ciągle niemieckością nasycane ,szczególnie gdy żyje w otoczeniu dzieci niemieckich, nie mając oparcia o język ojczysty, powoli odrętwieje dla polskości? Jeszcze tam, gdzie w zwartych żyjemy większościach, a rodzice dbają o swe potomstwo, tam dzieci nasze jako tako się ostoją. Lecz tam, gdzie Polacy żyją w mniejszości, w rozproszeniu, na obczyźnie, gdzie lud jeszcze zacofany, o słabem poczuciu polskiem, lub olśniony rzekomą wyższością niemiecką, gdzie zafukany stoi pod wpływem księży germanizatorów skrytych lub jawnych, tam w przerażającej liczbie dziatwa nasza traci charakter narodowy i ginie w objęciach nowoczesnego molocha: „Germanii".

Wielka liczba „dajczkatolików" o polskich nazwiskach, to wszystko wytwory takich stosunków.

III.

I cóż społeczeństwo nasze przeciwstawia temu, mem zdaniem najniebezpieczniejszemu ze wszystkich przeciw nam wymierzonych środków? Czy wzięto się ogólnie do samopomocy? Bynajmniej! Oto jedynie gazety powtarzają hasło: „Uczmy dzieci po polsku," a pewna ich część dołącza dla dzieci dodatki pod różnymi nagłówkami.

Ja bym wolał na każdej stronie gazety:

> „Rodzice, matki, siostry i bracia, panie i panienki, wszyscy ludzie dobrej woli, uczcie dzieci nasze po polsku: mówić, modlić się, czytać, pisać, rachować, śpiewać, a nadewszystko religii świętej! Błogosławieni będą stokrotnie, którzy czynią tego rodzaju miłosierdzie nad dziećmi polskiemi!"

Lecz czyż dojdzie wszędzie to wołanie? Przecież jeszcze nam daleko do tego, aby w każdym domu polskim czytano polską gazetę! Z tego, na co patrzałem (nie tylko w Księstwie) po wsiach i miastach, wnioskuję, iż ledwie połowa z ogólnej liczby polskich dzieci czyta jako tako po polsku, a co do pisania to jeszcze jest gorzej.

Społeczeństwo nasze jest w tej sprawie jakby bezradne, czy też bezwładne? — Gazety zaś, tylokrotnie wyrokami sądowymi „za szkołę" oćwiczone, nie lubią pisać w tej materyi, choć je to z danego obowiązku nie zwalnia. Zresztą uważam, iż należałoby przenieść punkt ciężkości ze „szkoły," na którą i tak żadnego wpływu nie mamy, — *na troskę o ogólne i lepsze kształcenie dzieci i młodzieży naszej przez naukę domową,* bo *mało* kto, prócz fachowców, zna się na sztuce nauczania, — mało kto wie, kiedy i jak z dzieckiem rozpocząć i prowadzić naukę domową.

Zamożniejsza i oświeceńsza część społeczeństwa naszego daje sobie w tej sprawie jeszcze jako tako radę, chociaż i tu potrzeba nieraz pobudki i

---

*) Artykuł powyższy nadesłał nam pewien doświadczony stary pedagog. — Przyp. Red.

objaśnień. Trudniejsza rzecz z ludem prostym. To też chciałbym w tej ważnej sprawie domowej nauki służyć rodakom w poniższem choć kilku wskazówkami, przez doświadczenie wypróbowanemi:

IV.

a) Już w trzecim i czwartym roku życia powinno dziecko zacząć odmawiać codziennie paciorek *po polsku* najpierw krótki, nie nużący, potem dłuższy, dodając powoli modlitwy w tem następstwie: Aniele Stróżu mój..., Zdrowaś Marya..., Ojcze nasz..., Wierzę w Boga..., Będziesz miłował Pana Boga twego..., Dziesięcioro przykazań..., Sześć prawd..., Ośm błogosławieństw..., Istotne powinności chrześcianina... itd. Tak, że w szóstym roku będzie dziecko umiało już dobrze na pamięć cały pacierz i najgłówniejsze rzeczy z małego katechizmu.

b) Dalej trzeba uczyć dzieci czytać i pisać po polsku — na elementarzu. Każdy z elementarzy posiada swe osobne zalety, na każdym można dziecko już po skończonym piątym roku *jest* w ręku dziecka, a ucząca osoba pracuje z zamiłowaniem. Dla tego też, polecając odpowiednie elementarze do pewnego wieku dziecka stosowne, zastrzegam się, iż bynajmniej nie mam zamiaru odsądzać niewymienionych od udziału w zasłudze o dobro publiczne.

Naukę domową czytania i pisania radzę rozpoczynać *w październiku*, gdy dłuższe wieczory, a słotna pora dziatki w domu zatrzymuje. Zdrowe dziecko już po skończony piątym roku życia, a więc *w szóstym roku*, zanim zacznie chodzić do szkoły — uczyć się może na *Elementarzu polskim* Miarki (za 10 fen.). Elementarz ten nadaje się do tak rychłej nauki dla tego, bo na początkowych 33 stronach tylko pisane ma głoski, a więc jedną tylko trudność uczącemu się dziecku przedstawia.

Kto dopiero równocześnie z nauką szkolną, to jest w 7 roku życia dziecka, może zacząć naukę czytania polskiego, temu polecam znakomity Elementarz poznański (z aniołkiem). Za to w 8 roku życia dziecka odpowiedniejszym jest Nowy elementarz Bendlewicza (szkoda tylko, że bez obrazków na wyrazy normalne.)

Kto się z nauką opóźnił, ten niech „lepiej późniéj, niż nigdy“ zacznie uczyć choć starsze dzieci. W takim razie, to jest, gdy dziecko przynajmniej już półtora roku chodzi do szkoły i poznało tam już głoski niemieckie i tak zwane łacińskie — a więc w 9 roku życia lub później — wybornym jest Elementarz toruński.

c) Przy czytaniu z elementarza trzeba pamiętać o tem, aby dziecko to, co czytało, także odpisywało z książki, albo napisało z pamięci. Naturalnie, iż później czyta się więcej, a tylko część czytanki lub jej streszczenie opracowuje się piśmiennie.

Po przepracowaniu elementarza aż do gładkiego czytania, dobrze jest, aby dziecko czytało jeszcze z innych książek. Najlepiej nadają się do tego opowiastki, niedługie bajki (klechdy), bo to dzieci zajmuje. Przy czytaniu zaś opisów dziecko, więcej na samouctwie skazane, nudzi się i książkę odkłada. Do dalszego czytania polecam książkę: „Czytanie postępowe,“ także legendy, powiastki ludowe, historyczne, różne powieści z „Czytelni ludowej,“ wreszcie czytanie dodatku gazetki dla dzieci itd.

d) Naturalnie, iż już po przeczytaniu elementarza trzeba dziecku kupić polską książkę do nabożeństwa (z drukiem czytelnym, nie drobnym) i przypilnować, aby dziecko tylko z niej chwaliło Pana Boga.

Samą nauką czytania nie dokończonoby pogłębienia umysłowego dziecka polskiego, gdyby rodzice zaniedbali nauki religii św. w języku ojczystym. Tu u nas, w archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, osięgnie się to najłatwiej, gdy rodzice, tam gdzie dzieci zmuszone uczyć się religii po niemiecku, kupią dziecku *polską Historyą św.* (z drukarni św. Wojciecha) i *polski Katechizm krótki* ks. biskupa Likowskiego. Książki te są analogicznie ułożone, z odnośnemi niemieckiemi, w szkole używanemi. Niech więc rodzice przypilnują, aby to z historyi świętej i katechizmu, co dziecko zmuszone w szkole uczyć się po niemiecku, czytało też i opowiedziało w domu po polsku z polskiej historyi świętej i z katechizmu.

.. „*Najkrótszy katechizm dyecezyalny*“ jest dobrym w układzie lecz za mało daje potrzebnego materyału z religii świętej; dla tego nadaje się tylko przy wspólnej nauce i objaśnieniach przez kapłana.

Dla dzieci polskich z innych dyecezyi, jako też na obczyźnie, lub gdzie ksiądz po polsku nie uczy, polecam: „*Podręcznik do domowej nauki religii świętej*“. Jest to w swoim rodzaju dziełko mistrzowskie, a w konieczności nastąpi u dziecka 9-cio letniego lub starszego nawet elementarz i pierwszą książkę do czytania.

e) I śpiewu polskiego winno się dzieko uczyć od rodziców lub od otoczenia, i to nietylko pieśni kościelnych, lecz także piosnek ludowych, światowych, ojczystych. Śpiewników na obydwa kierunki mamy wybór obfity, potrzebaby chyba taniego wydania śpiewniczka dla dzieci w rodzaju „Klonowskiego“. Jakże nam koniecznie są potrzebne w każdem mieście, w każdej parafii, nawet w każdej wiosce towarzystwa czy kółka śpiewacko-muzyczne! W tej gałęzi panowie organiści wieleby jeszcze zdziałać mogli dobrego.

f) Co się zaś tyczy innych przedmiotów, to ojczystej historyi, geografii, piśmiennictwa, historyi naturalnej, zadań rachunkowych po polsku, w braku jednego wspólnego, tylko z obszerniejszych podręczników oddzielnych uczyć się trzeba domowo. Te pola nadają się szczególnie do systematycznego opracowania w naszych gazetkach (dodatkach) dla dzieci.

O nauce domowej do dalszego kształcenia się młodzieży naszej pomówimy może — da Bóg — później.

J. L—ski.

Z TYGODNIA.

Nareszcie znów, po bezustannych niemal sensacyach i emocyach ostatnich miesięcy, świat polityczny przeżył tydzień spokojniejszy, bez przesileń ministeryalnych, bez krwawych starć na Bałkanie, a nawet.... bez zjazdów monarszych. Gdyby nie wybory w Prusach, które zresztą nie stanowią zdarzenia, interesującego bardziej szerszy ogół polityczny, możnaby powiedzieć, że właściwie w tym tygodniu nic się nie stało. Polityka jednakże nie składa się wyłącznie z wypadków; te oznaczają w niej zwykle tylko znamienniejsze fazy i etapy; ważniejszem albo niemniej ważnem jest to, co się cicho i spokojnie dzieje i przygotowuje w międzyaktach, bo z tego dopiero wypadki wypływają i wynikają. To też sumienny kronikarz polityczny nietylko wypadki zapisywać winien, lecz także wszelkie inne objawy, chociaż by tylko dla utrzymania ciągłości w swych kronikach.

Stosując się do tej zasady kronikarskiej i my damy dziś krótki pogląd na to, co się w ubiegłym tygodniu *działo;* zaczniemy przytem od *Austryi i Węgier*, gdzie zawsze dzieje się najwięcej. Tak i w ubiegłym tygodniu toczyła się tam w dalszym ciągu walka w parlamencie węgierskim. Nowy prezydent gabinetu węgierskiego hr. *Tisza* już pokazał opozycyi, że jest rzeczywiście „mężem żelaznej ręki,“ za jakiego go jego zwolennicy uważali oddawna. Obstrukcyi wprawdzie je-

szcze nie pokonał, ale już skruszył niejedno jej ostrze. Mimo wrzawy i burd stronnictw przeciwnych wygłosił swój program i dzielnie go bronił; potem przeforsował wybór nowego prezydyum Izby, przyczem na stanowisko marszałka wysunął niemniej energicznego barona *Perczela;* następnie pokierował sprawami tak, że mimo hałaśliwego oporu opozycyi ustawa o poborze rekrutów jednak stanęła na porządku obrad Izby. Daremnie przywódzcy stronnictwa Kossutha usiłowali przeszkodzić temu przewlekaniem obrad; Tisza i tego się nie uląkł. Wytrwał w Izbie do drugiej w nocy i — postawił na swojem. Daleko tam wprawdzie jeszcze do powrotu normalnych stosunków, to atoli, co nowy gabinet dotychczas zdziałał usuwa przynajmniej niebezpieczeństwo dalszych zatargów i wstrząśnień wewnętrzno-państwowych i uprawnia do nadziei, że przesilenie państwowe na Węgrzech jakoś się ułoży. Wspólny rząd austro-węgierski takiej już z tego pomyślnego zwrotu nabrał otuchy, że przygotowuje na gwałt nowe żądania, mając na celu pomnożenie i wzmocnienie wspólnej siły zbrojnej.

Sędziwy cesarz *Franciszek Józef* mógłby też odetchnąć nieco spokojniej, gdyby nie było także *...austryackiej Rady państwa.* Burzliwy ten parlament zebrał się na nową sesyą dnia 17 bm. Niestety zanosi się na to, że co się skończyło w parlamencie węgierskim, tu zerwie się z niemniejszą gwałtownością. Już nad pierwszem posiedzeniem zawisła zmora obstrukcyi *czeskiej,* która tym razem nie popuści zapewne, dopóki rząd nie spełni czeskich żądań. Na to zas bynajmniej się nie zanosi, bo obecny gabinet austryacki z dr. Koerberem na czele tkwi zanadto w pętach niemieckich. I to za pewnik uważać można, że ani w Austryi ani na Węgrzech nie będzie lepiej, dopóki w Wiedniu *Niemcy* rej wodzić będą.

Z Austro-Węgier nie daleko do *półwyspu bałkańskiego,* więc i my tam zaraz przeskoczymy. Tu na pozór zapanował spokój, ale na pozór tylko. Ciężka w tych stronach zima zmusiła ostatecznie powstańców do chwilowego zawieszenia broni. Przywódcy powstania korzystają z tego, aby gromadzić nowe fundusze i nowe zapasy broni do dalszej walki Równocześnie rozpoczął się pod tą pokojową powłoką silny ruch agitacyjny zarowno w *Serbii* jak i w *Bułgaryi,* mający na celu ściślejsze skojarzenie obu tych państw słowiańskich do wspólnej walki z Turcyą. Jak słychać, istnieje już nawet rozległy *spisek,* zmierzający do tego celu. Ma on głowne siedlisko w Bułgaryi, gdzie przystąpiło do niego dużo oficerów, a grozi nawet zrzuceniem z tronu księcia *Ferdynanda,* jeżeli dłużej opierać się będzie wojnie o wolność Macedonii. Nie braknie wieści, które zapowiadają że w Bułgaryi zanosi się na to samo, co się w nocy dnia 11 czerwca stało w Serbii. Rząd bułgarski stara się ruch ten przytłumić; ukarał już też sposobem dyscyplinarnym 140 oficerów, którzy zbyt otwarcie agitowali, tem atoli dolał tylko oliwy do ognia. Korespondent jednego z pism berlińskich twierdzi też już z całą stanowczością, że na wiosnę *olbrzymi płomień ogarnie cały półwysp bałkański,* i że przeistoczy zupełnie polityczne stosunki tamtejsze.

To pewna, że *Turcya* postępowaniem swojem wprost prowokuje zarówno Bułgaryę jak i opinię Europy. Zaleconych jej reform nie przeprowadza, kontroli mocarstw poddać się niechce. Sprawia to wrażenie, jak gdyby w Konstantynopolu przeważało mniemanie, że wszystko to na nic się już nie przyda, bo i tak koniec panowania tureckiego w Europie jest już bliski.

We *Francyi pan Combes* trzyma się jeszcze na stanowisku prezydenta gabinetu i udaje zucha wobec zakonów i kościoła katolickiego, ale podobno za kulisami przygotowuje się już zwrot w ugrupowaniu stronnictw, który zwali go z zajmowanego krzesła. Prezydent *Loubet* także jakoś zwleka z swą podróżą do Rzymu i odkłada ją na coraz dalszy termin. Pragnąłby on widocznie gorąco, ażeby stosunki między Watykanem a Francyą tak się ułożyły, iżby go Papież mógł przyjąć. Na to atoli długo jeszcze czekać będzie. Pius X w rozmowie z pewnym dziennikarzem francuzkim gorzko się skarży na [illegible] Kościoła we Francyi, a z jego alokucyi na ostatnim konstystorzu wynika jasno, że nie myśli zejść z wyprobowanej drogi politycznej, którą kroczył wielki jego poprzednik.

Para carska **wróciła już do** *Rosyi.* **Zaledwie stanęła na ziemi carstwa, pojawiły się wieści, że hr** *Lambsdorff* obecny kierownik rosyjskiej polityki zagranicznej ma ustąpić, że usiłują go obalić dwaj najbardziej w Rosyi dziś wpływowi mężowie: *Pobiedonoscew i Plehwe,* minister spraw wewnętrznych. Ile w tych pogłoskach prawdy, trudno dociec. Plehwe bawił teraz przez czas dłuższy w *Warszawie.* Podobno zastał tam w czynownictwie stosunki, które wywołały z jego strony ostrą krytykę . Podczas jego pobybtu pojawił się przytem w urzędowym „Dzienniku“ artykuł, który jakoby miał w kołach polskich wzbudzić nadzieję, że Królestwo w blizkiej już przyszłości lepsze czekają czasy. Co do nas, to nie łudzimy się co do tego, i nie uwierzymy w pomyślniejszy zwrot stosunków w Królestwie, dopóki nie przybierze on realnej, namacalnej postaci. Mniemamy też, że rodacy nasi tamtejsi nie tak łatwo znów popadną w sidła polityki ugodowej.

M. O.

Przegląd prasy.

Prawybory wypadły dla nas dość niekorzystnie. Gazety przepełnione są skargami na opieszałość prawyborców lub wprost zdradę sprawy narodowej. Znalazło się nawet niestety dużo osobników ze stanu średniego, którzy głos swój Niemcowi oddali. Mimo wszystko jednakże nie utracimy prawdopodobnie ani jednego mandatu.

W Prusach Zachodnich toczyła się z powodu wyboru kandydatów poselskich zacięta walka pomiędzy stronnikami *„Gaz. Grudziądzkiej,“* **a ugodowcami, a wyraz swój znalazła ona na walnem zebraniu delegatów, które było bardzo ożywione.**

Do zanotowania mamy nawet smutny fakt wstrzymania się od głosowania. Oto co piszą z Brodnicy do *„Gazety Grudziądzkiej:“*

> „W dzisiajszych prawyborach do sejmu pruskiego nie przeprowadziliśmy ani jednego walmana Polaka, chociaż z łatwością można było przeprowadzić 6-ciu, a nawet 8-miu, gdyż w II. klasie okręgu I. Polacy byli w znacznej większości. Agitacya była przeprowadzona, jak zawsze, dobrze, ale skoro się wyborcy dowiedzieli, że najwyższa władza wyborcza tj. komitet prowincyonalny i delegaci wyznaczyli na okręg nasz kandydata, którego sobie wyborcy wyraźnie nie życzyli i przeciw któremu na walnem zebraniu przynajmniej $^5/_6$ zebranych głosowało, — większa część, bo przynajmniej $^2/_3$ wyborców wstrzymała się od głosowania.
>
> Kto więc ma tutaj winę, odgadnąć nie trudno.“

Na Górnym Ślązku prawybory przyniosły dla centrum niejedną niespodziankę. W okręgu bytomsko-katowickim, reprezentowanym dotąd przez centrowca, zwyciężyli połączeni hakatyści rozmaitych odcieni politycznych, a w opolskim zapewniony jest podobno wybór nielegalnie postawionego kandydata Vogta w miejsce p. majora Szmuli.

W okręgu pszczyńsko-rybnickim mają Polacy 139, centrowcy 280, a konserwatyści 345 walmanów. Polacy i centrowcy zatem mają absolutną większość. Podobno Polacy żądają od centrowców odstąpienia tego man-

datu i tylko pod tym warunkiem chcą im pomódz.

Z powodu występów germanizatorskich księży górnośląskich ogłosił ks. prob. Kulka z Chrumczyc w *„Gaz. Opolskiej“* następujące oświadczenie:

„Polski ludu katolicki!

W sprawach wiary i nauki Kościoła należy księżom bez wyjątku i zawsze na słowo być posłusznym. Atoli inaczej ma się rzecz, skoro *twoi kapłani występują jako politycy.*

Jeżeli jesteś pouczony i przekonany, że zdania i twierdzenia polityczne twoich księży są *błędne i mylne, wtedy nie jesteś obowiązany do posłuszeństwa.*

W tem nie ma najmniejszego grzechu.

Kto inaczej uczy, źle uczy.“

Cześć zacnemu kapłanowi!

Ks. prob Skowroński spotkał się z ciężkimi zarzutami ze strony centrowców z powodu swej znanej odezwy. Na to odpowiada on w *„Gaz. Opolskiej:“*

„Nasz ruch narodowy został przez opolską odezwę niemiecką w haniebny sposób spotwarzony, a każdemu oszczercy należy się winna odpowiedź. Albo czyż samozwańcy opolscy myślą, żeśmy na to tylko założyli polskie Towarzystwa, aby się potem na ławę położyć i dać się od każdego zawadyaka centrowego chłostać? Nie, pankowie, my chcemy stać na straży skarbów narodowych i religijnych naszego ludu i będziemy się wszystkiemi wyborami na całym Górn. Slązku żywo zajmowali, bo nie możemy tego znieść, abyście naszym ludem polskim jak wiechciem pomiatali.

Dość tej buty! Dość tej wzgardy!“

Sprawa kleryków niepokoi dotąd opinią publiczną jako objaw nadzwyczajnej uległości naszych władz duchownych wobec żądań względnie życzeń protestanckiego rządu. W tej sprawie pisze *„Postęp:“*

„W sobotę klerycy za pokutę byli zamknięci przez pół dnia za to, że mieli popełnić niesubordynacyą przez to, że wystosowali do całej kapituły memoryał, w którym napiętnowali w dosadnich słowach całe postępowanie władzy duchownej w sprawie zmuszania ich do akademii germanizacyjnej. Za to osadzono ich w areszcie i spowodowano do cofnięcia formy memoryału, ale treści nie cofnięto. Memoryał podpisało 80 kleryków, w imieniu których deputacya złożona z 6 z swoim dziekanem na czele, kapitule go przedłożyła. Poczem nastąpiło przeproszenie, areszt i degradacya dziekana, na miejsce którego władza duchowna postawiła kleryka *niepolskiej* narodowości. Dla przykładu zaś zapisał się na akademią ks. kanonik dr. Dalbor i kilku innych księży. Sądzą niektórzy, że klerycy jak błędne owce w ogień pójdą. Na Wielkanoc każdy abituryent będzie musiał podpisać cyrograf, że będzie uczęszczał na akademią, inaczej nie przyjmą go do seminaryum. Do czego to ta partya ugodowa doprowadziła!“

Pod presyą opinii publicznej władza duchowna przestała więc na tem, że tylko I kurs na wykłady w akademii uczęszczać będzie. Jestto jednakże wybieg, bo ten pierwszy kurs będzie na przyszły rok drugim i jako taki będzie także musiał chodzić do germanizatorskiej akademii, tak że z czasem wszyscy klerycy staną się słuchaczami tejże.

„Kuryer Pozn.“, który w tej sprawie długo milczał jak zaklęty, zdobył się wreszcie na następujące „wyjaśnienie:“

„Wobec rozlicznych wieści, obiegających w publiczności i w części prasy ludowej poznańskiej w ostatnich dniach o dalszych rozporządzeniach Władzy duchownej w tym względzie, udaliśmy się ponownie do Zwierzchności seminaryum tutejszego i otrzymaliśmy jako odpowiedź oświadczenie, iż „rzecz dla każdego prawdziwego (!) katolika jasna, że Władza duchowna rządzi zakładem naszym, a nikt nie ma prawa, aby się mieszać w Jej rozporządzenia. Władza duchowna rozkazała alumnom najniższego kursu, aby uczęszczali na kilka prelekcyi akademii poznańskiej, a każdego alumna obowiązkiem jest zastósować się do woli swych legalnych przewodników duchownych.“

Zwolna, zwolna, szanowny „Kuryerze!“ Że „władza duchowna rządzi zakładem“ było zawsze dla każdego, choć i nie katolika rzeczą jasną. **Skoro jednakże władza duchowna się rozpolitykowała i wskutek tej polityki nakazała klerykom wbrew ich woli uczęszczać do germanizatorskiej akademii, to objaw ten przestaje być czysto wewnętrzną sprawą władzy duchownej i każdy „prawdziwy katolik“ i Polak z głębokim żalem na takie poniżenie patrzący, musi zająć stanowisko wobec tego występu politycznego. Niechże „Kuryer“ zestawi powyższe wyjaśnienie z tem, co niedawno napisał o kardynale Skrbeńskim!**

Na znakomity artykuł ks. dr. Skrzydlewskiego z Ponieca, nawołujący księży, aby szanując swą godność kapłańską, kierowali się w życiu publicznem zasadami bezstronności i nie dali się porwać rozwydrzeniu politycznemu, odpowiada w *„Lechu“* widocznie jakiś ksiądz pomiędzy innemi co następuje:

„A czyżby kapłan dla tego, że został kapłanem, miał przestać być dzieckiem tego narodu, z którego wyszedł? Ktoby to przypuszczał, poniżyłby znaczenie i godność kapłaństwa. Wszystko, co dobre, co nasze, co szlachetne, miałoby tam iść w pogardę, gdzie właśnie do najwyższego powinno się znaleźć rozwinięte doskonałości? Nie! zaiste nie! Taki, który zostawszy kapłanem, z powodów materyalnych dla łaski możnych tego świata, przestanie być wiernym duszpasterzem narodu, wierzcie mi szczerze, taki nie jest ani prawdziwym kapłanem! — to szachraj, który się zaparł godności kapłańskiej!

„To też ci, którzy w przesadnim zapale agitacyi politycznej chcieliby usunąć duchowieństwo z areny publicznej, niech się namyślą dobrze, czy to pożyteczne. Za wiele sił nie mamy, więc nie odpychać nam żadnej. Stronnictwa i zapatrywania polityczne w narodzie rozwiniętym, jak nasz, będą zawsze różne. Tak jak świeckim, wolno i duchownemu należeć do tej partyi, która odpowiada jego przekonaniu. Kto odmiennego przekonania, ma prawo zwalczać to przekonanie w dziedzinie politycznej lub narodowej i społecznej tak samo wobec duchownego jak wobec świeckiego. Ale tak samo ma też każdy duchowny tak same prawo jak świecki stanąć w obronie swych przekonań i używać wszelkich uczciwych i dozwolonych środków do uzyskania zwycięstwa dla swych przekonań. Dla tego niechaj i pisma publiczne jakichkolwiekbądź stronnictw i zapatrywań i obywatele nasi oduczą się nieszczęsnego zwyczaju wysuwania na czoło charakteru kapłańskiego u tych księży, których przekonania im się nie podobają, w zamiarze, aby w ten sposób uniemożliwić im walkę w imię swych przekonań. Są tacy, są nawet takie pisma, któreby chciały, żeby ksiądz wogóle nic nie powiedział, co im się nie podoba. Jeżeli zaś powie, tedy zaraz faryzejskim palcem na niego „i to ksiądz.“ To nieuczciwe i szkodliwe. Nieuczciwe, bo każdy wie, że ksiądz przez to że został księdzem, nie stracił prawa być obywatelem. Szkodliwe, bo na takiem wytykaniu najlepiej wyjdą ci, co jeno na to czyhają, aby księża nic w sprawach publicznych nie robili. Walczmy ze sobą w sprawach naszych publicznych o przekonania swe mężnie i wytrwale, ale walczmy z wzajemnem uszanowaniem praw każdemu przynależnych!“

„Dziennik Poznański“ podjął się bardzo niewdzięcznego zadania. Usiłuje bowiem uniewinnić zdyskredytyowaną zupełnie politykę ugodową. Pisze on:

„Ileż to u nas na małe rozmiary wynajdywano grzechów i win na rachunek tych, którzy w tak nazwanej erze Capriviego tylko ten popełnili błąd, że w danych okolicznościach ufali słowom i zamiarom tych, którzy wedle skutku na zaufanie nie zasługiwali.

Nie tylko od czci i wiary ich odsądzają — za co? Za to, że się omylili tylko tak, jak ci żołnierze i politycy, którzy wierzyli Napoleonowi. A przecież Napoleon żądał od nas ofiar na ofiary, żądał ofiar

we krwi i majątku, ojczyzny całej, a tu nie ryzykowaliśmy nic, prócz trochę zawodu.

Wytykają, że posłowie nasi głosowali za wojskiem i za marynarką! A przecież i bez naszych głosów wszystko to byłoby przeszło, czego od kraju żądali ci, co udawali, że są owiani duchem sprawiedliwości i życzliwości.

Omyliliśmy się, ale nie obarczyliśmy się winą, któraby na wszystkie czasy zaważyć miała na sumieniu i godności obywatelskiej, jak chcą dziś ci, co tak łatwo po czasie sądzą i wyrokują.

Omyłki z polskiej polityki czasów Napoleona czy Capriviego porówno chyba tylko stwierdzają, że Polacy do polityki nie mają zmysłu, ale dla tego nie są zdrajcami, zaprzepaszczonymi na zawsze, skoro wierzyli Napoleonowi lub Capriviemu.

Uczmy się wszyscy razem polityki, żebyśmy omyłek politycznych nie popełniali, ale zaiste nie do twarzy nam z tem, że z powodu omyłek politycznych wyroki potępiające ferują ci, którzy żadnych dowodów nieomylności jeszcze nie złożyli w takiej mierze, żeby widoczną była konieczność polegania wyłącznie na ich zdaniu.“

„Dziennik“ w tym przypadku widocznie świadomie popełnia „omyłkę“ pisząc, że wszystko byłoby przeszło bez głosów polskich. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że głośna ustawa wojskowa przeszła głosami polskiemi.

W *„Dzienniku Pozn.“* p. K. Grabski ze Zbietki nawołuje ziemian w seryi artykułów, aby pieniądze swe zanosili do polskich banków, a nie niemieckich, jak to bardzo często się dzieje, co na szeregu dowodów wykazuje. Również wzywa, aby ziemianie w korespondencyi z kupcami innej narodowości posługiwali się językiem polskim, co się niestety dotąd tylko w rzadkich przypadkach dzieje. O rabowaniu ziemi pisze pomiędzy innemi:

„Niech z kół miennego mieszczaństwa naszego zdolniejsi i zdradzający do rolnictwa zamiłowanie ludzie, poświęcą się pracy na niwie ojczystej. Daleki jestem od namawiania, aby przemysłowcy nasi, skoro dojdą do znaczniejszych zasobów, zaraz zamieniali swój zawód na zawód rolniczy. Przeciwnie, choć zdobędą majątek, winni i młode pokolenie w obranym przez siebie kierunku kształcić, aby i u nas z czasem powstały stare, przechodzące z dziada na ojca i syna firmy, jakich dziś nam brak nieomal zupełnie, co za wielki błąd uważać należy. Lecz to nie wyklucza bynajmniej, aby, przyszłość firmy swej przeważnie mając na oku, w razie liczniejszej rodziny choć jedno z dzieci oddać na usługi rolnictwa.

„Przedewszystkiem jednak nie brak naszemu mieszczaństwu ludzi prawdziwie miennych, którzy na przeróżnych szczęśliwych spekulacyach porobiwszy fortuny, żyją sobie spokojnie z odsetek kapitału. Przedmieścia Poznania wiele o tem powiedzieć by mogły. Tych w pierwszym rzędzie powinnością, jeśli się na ziemi przez szczęśliwe spekulacye zbogacili, tej ziemi się za to odwdzięczyć i ten dług wdzięczności spłacić, broniąc jej przed obcym zalewem.“

O prawdopodobnym wyniku głośnego procesu hrabiny Węsiersko-Kwileckiej pisze *„Dziennik Berl.“* z dnia 15-go b. m.

„Jest też faktem, że dziś nikt z bliżej śledzących sprawę nie wierzy, żeby hr. Izabella mogła zostać zasądzoną, ile że poza negatywnym dla prokuratoryi rezultatem oględzin, świadectwo głównego świadka dowodowego, Jadwigi Andruszewskiej, zostało mianowicie na wczorajszem, piątkowem posiedzeniu, zupełnie zachwiane. To, co dalej zeznała wczoraj Zofia Kaczmarek, mamka Józia Kwileckiego, kobieta zupełnie wiarogodna i dotąd nie karana, która stwierdziła u dziecka wszelkie objawy, jakie się napotyka u noworodka, nie da się żadną miarą usunąć.

„Na jakiej podstawie nastąpi ewentualne uwolnienie oskarzonych, także nie przesądzamy.

„Jeżeli ono, jak się na to zanosi, rzeczywiście nastąpi, życzyć by w interesie naszej sprawy należało, żeby nie czasem sam brak dowodów winy, ale udowodniona, o ile to jest możliwem, niewinność była motywem werdyktu uwalniającego, bo mimo wszystko, co słusznie zarzucać można i trzeba przykrej dla każdego prawego Polaka, niezdrowej, a nawet zgubnej atmosferze wróblewskiej, nie mogłaby wtedy wroga nam opinia twierdzić i na całe społeczeństwo tego przenosić, że w tych kołach jest miejsce dla — pospolitej zbrodni.

„Taki, z tych motywów wydany, werdykt byłby też pożądanym w interesie owego dziecka, które ma dziedziczyć majorat wróblewski.

„Dla niego bowiem, tej nieświadomej przyczyny całego procesu, koniecznem jest, żeby legalność jego urodzenia była zupełnie bez zarzutu, w przeciwnym razie życie jego, pomimo świetnych pozorów, nie byłoby usłanem na różach.“

„Pos. Ztg.“ donosi, że rząd zamierza w Lesznie utworzyć siedzibę rejencyi. Pogłosce tej wcale się nie dziwimy bo na to są hakatyści, żeby wymyślali coraz to nowe projekty antypolskie, które rząd zwykle stara się wprowadzić w życie.

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Z obczyzny, 18 listop.. 03.

Potrzeba odpowiednich pomieszkań, bo z braku tychże szerzy się demoralizacya w sposób zastraszający. Jedno z pism katolickich na zachodzie „Volkswirtschaftliche Blätter“ tak pisze mniej więcej o tej palącej kwestyi:

„Naród francuzki cofa się — Francya wyludnia się i dziś już nie może dostarczyć odpowiedniej ilości rekruta. Wiele już w tej materyi pisano i mówiono — ale co się przyczyniło do tego wyludnienia — na to mniej uwagi zwracano. Powód tego tak smutnego objawu dla Francyi leży jedynie w braku odpowiednich mieszkań. Znaną jest bowiem rzeczą, że w Paryżu i innych wielkich miastach ludzie zwykle mieszkają w norach — w izbach — wychodzących na kupy śmietników i kałuże. W nich nie rzadko kilka rodzin obarczonych licznem potomstwem w łachmanach spędza pospołu życie.

Kto się o tem chce przekonać — niech weźmie dzieła „Zoli“ do ręki — a mianowicie powieść: „Paryż.“

W Niemczech pod tym względem jeszcze nie tak źle. Nadwyżka urodzin w Niemczech wynosi przeszło pół miliona. Ale tak zwany „system francuzki“ t. j. dwoje dzieci, i u nas dostrzegać się daje, mianowicie w wielkich miastach na wschodzie, gdzie mniej dogodniejsze są warunki — dotyczące pomieszkań. Toć nie dawno temu — jak do gazet szkólnych pisano — pod stolecznem miastem Berlinem — mieszkało około 60 familii roboczych w norach podziemnych. Nawet urządzono tam szkołę, do której dochodził nauczyciel z poblizkiej wioski — udzielając nauki. Byli to robotnicy pracujący przy nowej żwirowce. Przy powszechnem wychodźtwie ze wsi do miasta mamy z tego powodu ogromny wzrost miast, wskutek czego grozi ludowi naszemu z tej strony wielkie niebezpieczeństwo, a właśnie jedna z pierwszych przyczyn tego nieszczęśliwego objawu — to niedostateczna ilość pomieszkań — dla obdarzonych liczną dziatwą małżeństw.

Nieraz biedny ojciec, idąc szukać pomieszkania — bywa zwykle na wstępie zapytywanym — ile ma dzieci. Jeżeli ma liczniejszą familią, gospodarz odprawia go z kwitkiem.

Wreszcie pod presyą konieczności bierze mieszkanie — w któremby za żadne pieniądze sam nie mieszkał. — Biedni ci rodzice, którzy już dosyć mają kłopotu i troski — by jako tako to życie opędzić — muszą jeszcze cierpieć niewygodę — dla braku pomieszkań. A dzieci — którym do rozwinięcia sił potrzeba koniecznie zdrowego i obszernego pomieszkania — muszą się nieraz cisnąć w małych

ciupkach — gdzie brak powietrza i światła.

Jakież nie miłe wspomnienia młodości będą miały na później takie dzieci i jaki wstręt do stanu małżeńskiego — mając przed oczyma nędzne mieszkanie swych rodziców — i los, który ich również czeka. Z tej strony grozi ludowi naszemu wielkie niebezpieczeństwo. Tu bezwarunkowo powinna nastąpić zmiana na lepsze. Gminy — a mianowicie w wielkich miastach powinny takie domy mieszkalne budować — w których ewentualnie rodziny z wielką liczbą dzieci odpowiednie pomieszkanie znaleźćby mogły.

Zamiast budować wspaniałe gmachy, łaźnie z komfortem przesadzonym — teatry z bogatą fasadą — zakładać wielkie parki i kosztowne pomniki stawiać — niech gminy powodowane miłością bliźniego, obrócą te piękne sumy na budowle domów dla tych biedaków — to się w istocie przysłużą ludzkości i rozwiążą w znacznej części kwestyą socyalną — nad którą głowę sobie łamią. A przecież domy takie dobrze się procentują i gminom dochodu przysparzają.“

Wielkie miasta fabryczne mają dziś na zachodzie budynki dla robotników — ale to tylko fabrycznych — aby ich módz stale zatrudniać, mniejsze atoli fabryki z braku funduszy na ten cel — nie mogły tego jeszcze uczynić. Wspomnę tylko o *Essen*. Kolonie robotnicze Krupa — fabrykanta Brands w M. Gladbach — Konsorcyum budowlane w Krefeldzie również w wielu miastach Westfalii. Tu więc na zachodzie jeszcze nie tak źle.

Tu robotnik ma osobną sypialnią i osobne izby, gdzie gotuje i mieszka z rodziną. Przebywając lat przeszło piętnaście w tych stronach niejedno widziałem i doświadczyłem, nie dziwi mnie zatem, że lud nasz, mianowicie wiejski, opuszcza rodzinne strony — mając liche pomieszkania po wsiach, zapadłe chaty, gdzie nie raz zwykł mieszkać z kurami i świńmi pospołem, bojąc się, by mu takowe w zapadłej i dziurawej stajence nie zmarzły zimą. Gdzie lud ma porządne domy mieszkalne i gdzie po ludzku się z nim obchodzą, tam dziedzic nie potrzebuje utyskiwać na brak robotnika. Że polski chłop tylko z musu — a więc z biedy opuszcza strony ojczyste — to rzeczą jest jasną.

Żyjąc tu pomiędzy nimi — słyszałem nieraz mówiących: *„Tylko się dochrapię kilku set talarów — to wracam — zakupię kilka mórg roli — pobuduję sobie porządny domek i nie wrócę tu więcej.* Nędza nas tu tylko wypędziła — złe obchodzenie się z nami — a mianowicie lichy zarobek i pomieszkanie — uwłaczające godności człowieka.“

Tak tu lud sobie gwarzy i ma słuszność, bo znane mi są owe w ziemię zapadłe i drągami podparte czworaki z wybitemi i słomą zatkanemi oknami po niektórych wioskach. Tak, minione to czasy — gdzie lud gorzej od bydła traktowano — dziś inne nastały. Godność człowieka wzrosła — oświata za pomocą gazet ludowych i wędrówka na zachód nauczyły go, że i on ma prawo być traktowanym jak człowiek.

Czas więc zerwać z przestarzałemi przesądami i naprawić to, co kiedyś protoplaści zawinili i uznać chłopa za swego bliźniego. *Przyjaciel.*

Od wydawnictwa.

Niejednokrotnie okolicznościowo wskazywaliśmy w „Pracy“ na wstrętne przejawy małostkowości, osobistej i konkurencyjnej niechęci, które zachwaszczają naszą prasę tak, iż pesymista, uogólniając to, mógłby bardzo niekorzystne powziąć wrażenie o poznańskiej etyce dziennikarskiej i stanie kulturalnym naszego społeczeństwa. Ile to razy dzienniki pomieszczają od pierwszego lepszego człowieka wiadomości, uchybiające członkowi prasy chociaż wiadomo, iż mijają się z prawdą i podyktowane są osobistą a jak często nieuzasadnioną niechęcią. Prasa staje się w ten sposób rozmyślnie narzędziem potwarzy, niejako zachęca ludzi małego charakteru do szycia butów, do obrzucania błotem, swych nieprzyjaciół. Mieliśmy tego wprost klasyczne przykłady.

Obecnie o aresztowaniu wydawcy „Pracy“, pana M. Biedermanna, niektóre pozamiejscowe pisma niemieckie głosiły o tyle potworne o ile idyotyczne rzeczy a na bruku poznańskim znalazło się pismo, które nie miało nic mędrszego do roboty jak powtórzyć te brednie.

Berlińska „Post“ obwieściła swym czytelnikom, że p. Biedermann przekupywał stale kilku dozorców więziennych we Wronkach i dzięki temu p. dr. Rakowski utrzymywał w więzieniu formalną redakcyą i pisywał wszystkie cięte artykuły, które ukazywały się w „Pracy“ w ostatnich miesiącach. Gdyby reporter donoszący to do pism niemieckich popukał się w czoło, nie byłby pisał tak całkiem nieprawdopodobnych rzeczy.

P. dr. Rakowski ma od kilku miesięcy w więzieniu maszynę do pisania oraz książki, naturalnie z pozwoleniem i wiedzą władzy więziennej, ale pytamy się, czy podobno, aby człowiek od lat dwóch odcięty od świata, pozbawiony gazet, w dodatku raz po raz zapadający na zdrowiu, mógł pisywać artykuły o polityce bieżącej i o rzeczach aktualnych? Chwila zastanowienia wystarczy, byśmy taką historyę położyli między bajki i uśmiechnęli się nad tem z politowaniem. Ale „Goniec Wielkopolski“, w gonitwie za sensacyą powtórzył te brednie, podczas gdy poznańskie pisma niemieckie — które nie można posądzić o sympatyę dla banku parcelacyjnego i wydawnictwa pana Biedermanna — ograniczyły się na rzeczowych wzmiankach.

Ale hakatystyczna „Post“ z wszechpolskim „Gońcem“ prócz powyższych bredni uważały za stosowne donieść, że p. Biedermann „przekupywał także innych (?!) urzędników w Księstwie (!)“. Hakatystyczny blat pozamiejscowy mógł ostatecznie wiadomość tę przyjąć za wiarogodną i chętnie ją umieścić, by oczernić Polaka, ale poznański „Goniec“ chyba nie dawał temu wiary żadną miarą. Dlaczego zatem rozgłasza to?

Czy powodowała „Gońcem“ nizka, plugawa Schadenfreude, zadowolenie z nieprzyjemności, na jaką narażono bliźniego i rodaka? Czy mania spotwarzania ludzi?

Zapewne po części i jedno i drugie, ale przedewszystkiem — głupota.

P. Biedermann z czystem sumieniem i zupełnym spokojem oczekuje procesu a, stwierdziwszy i wytknąwszy ten charakterystyczny akt „Gońca“, może równie spokojnie przejść nad nim do porządku dziennego — splunąwszy. Walczyć przeciw temu nie podobno bo „z głupotą nawet bogowie walczą daremnie“.

Wiec polski w Elberfeldzie.

Wszystkim Polakom i Polkom z Elberfeldu, Barmen i okolicy do uprzejmej wiadomości, że w dniu 22-go listopada r. b. odbędzie się wiec polski w Elberfeldzie na sali pana Berle, przy narożniku Nord. Carnapstrasse po południu o godzinie pół do 5-tej.

Na porządku dziennym będą ważne sprawy, więc liczne przybycie jest pożądane.

Zwołujący.



Artur Ricci.

Toast weselny.

Album „Pracy“.

Drukiem „Pracy“.

Dział illustrowany.

Z OJCZYSTYCH STRON.

Machnówka.

Machnówka, miasteczko w powiecie berdyczowskim, leży nad rzeką Hnyłopiatem, której wody zatrzymane tu groblami, w kilka stawów się rozlewają. Miasteczko to dzieli się na właściwą Machnówkę i przedmieścia: Starą Machnówkę i Kamionkę i liczy obecnie 2291 mieszkańców. Z oddala przedstawia się dość malowniczo, przy bliższem poznaniu traci swój urok, skutkiem brudu.

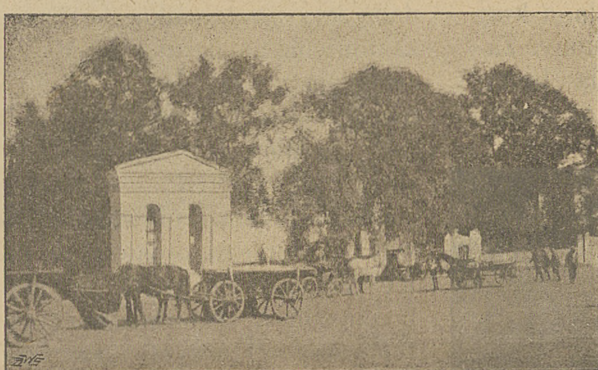
Wyniosła wyżyna, czyli tak zwany grzbiet Machnowiecki, rozpościera się w tej okolicy i służy za dział wód, z których jedne mają spad ku Bohowi, drugie ku Dnieprowi. Tą wyżyną przewijał się niegdyś Czarny szlak, to jest droga, którą zwykle Tatarzy najeżdżali Polskę. Tatarzy więc byli częstymi gośćmi w Machnówce, krwią i pożogą znacząc swój pobyt. Szlakiem tym biegła granica Korony z Litwą, od czasu zaś jak Podole dostało się do zaboru tureckiego, sterczał długi czas na tymże gościńcu kopiec pograniczny turecki. Obecnie łączą się tu granice dwóch gubernii.

Pierwszą wzmiankę o tej miejscowości spotykamy w akcie darowizny, którego mocą w roku 1437 w. ks. lit. Świdrygiełło pustki bezimienne, rozesłane na całym średnim i górnym biegu Hnyłopiatu, nadał za rycerskie zasługi przodkowi rodu Tyszkiewiczów, na imię Kalenikowi, hetmanowi ks. kijowskiego i marszałkowi, namiestnikowi putywelskiemu i zwinogrodzkiemu. Roztoczyło się na tym przestworzu z biegiem czasu kilka ładnych włości: naprzód „Słobodyszcza,“ na gruncie których powstaje Berdyczów i Machnówka.

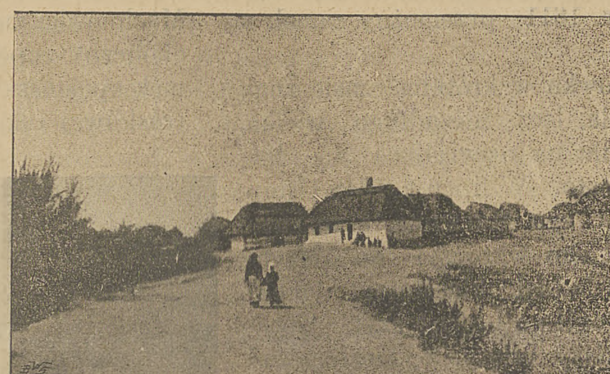
W r. 1483 Machnówka po raz pierwszy padła ofiarą najazdu Mengli-gireja. Tatarzy wymordowali mieszkańców a osadę zrównali z ziemią.

Od tych dni martwa cisza zaległa osadę i przez długi czas była to pustynia dzika prawie, dopiero syn Wasyła Tyszkiewicza, st. czerkaskiego, mińskiego i wojew. podlaskiego, Kalenik, około r. 1552 Machnówkę osiedlił i chcąc ochronić okolicę od napadów tatarskich, wybudował warowny zamek. Po śmierci Kalenika, który umarł bezdzietnie, dziedzictwo dóbr jego ziemskich ukraińskich przeszło na jego synowca Feodora, syna Jerzego, wojewody brześciańskiego, który również gorliwie dbał o rozwój miasta.

W roku 1585 doznała Machnówka wielkiego spustoszenia przez powtórny napad ordy. Jednakże Feodor zaczął się pilnie krzątać nad uporządkowaniem swej własności. Machnówkę spustoszoną na nowo znów osadził i r. 1593 obdarzył ją obwarowanym nowym zamkiem, na miejsce dawnego, który się wznosił na prawym brzegu



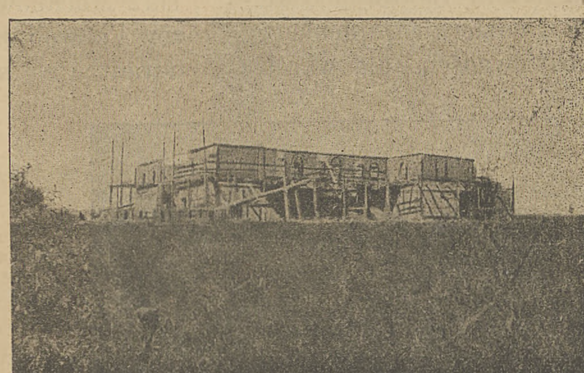
Przed kościołem w Machnówce.



Okolica Machnówki. Wieś Medwedówka.

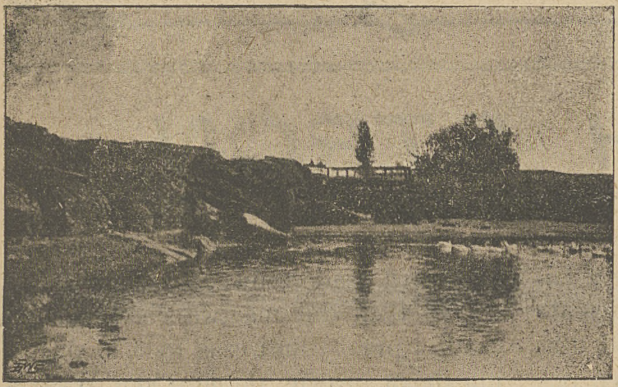


Widok Machnówki z drogi Wujszyńskiej.



Nowo wznoszony kościół w Machnówce.

Hnyłopiatu, i w zameczku tym wojenną czeladź chował. Po śmierci Feodora szerokie włości dostały się Januszowi, star. niechorowskiemu. Syn jego Janusz, wojewoda kijowski, ufundował klasztor OO. Bernardynów. On



Brzegi Hnyłopiatu w okolicach Machnówki.



Na rynku w Machnówce.

to w tej Machnówce, pierwszy raz już w r. 1609 jako miasto wzmiankowanej, na miejsce zamku drewnianego, wystawił w r. 1611 przemożny zamek z muru.

Machnówka w krótkim czasie znacznie urosła, lecz niezadługo wielka klęska padła na rozwijające się tak szybko miasto. W lipcu r. 1648 Ostap Krzywonos, syn Maksyma, z rozkazu Chmielnickiego wkroczył do Machnówki, zawładnął klasztorem i nielitościwie złupił go i spustoszył. Kozacy, wysiekłszy księży, z klasztoru zaczęli dobywać zamku. Przebywający na zamku z załogą rotmistrz Lew, podstępnie wywabiony został i naprowadzony przez kozaków na zasadzkę; musiał się cofnąć. Kozacy pędząc za uciekającym w nieładzie, wpadli do zamku i zapalili go wraz z miastem. Po krótkiej walce załoga uległa. Lew, posieczony i postrzelony w małym początku życie uniósł. Kozacy tymczasem strasznie dokazywali, mordując szlachtę i żydów i zabierając pieniądze, klejnoty i kosztowności, ale wkrótce



Targ w Machnówce.



Typy machnówieckie.

nadeszła odsiecz. Jeremi, ks. Wiszniowiecki, wracając z Pohrebyszcz, znalazł się w tych stronach pod Rajgrodem, a uproszony przez Janusza Tyszkiewicza, w dwa tysiące koni wraz z wojewodą ku Machnówce skoczył. Piechota, działa i główne siły wojska zostały w Chmielniku i miały iść do Bystrzyka. Waleczne wojsko wyparowało o zmierzchu nocnym Krzywonosa z miasta i zamku, który nasamprzód za miastem w polu się otaborzył, a w nocy umknął. Wówczas to przerażona ludność miejska rozchodzić się zaczęła na wszystkie strony. Machnówka znowu opustoszała, a kraj okoliczny zupełnie był zmieniony. Zamek opustoszał i z czasem, dla braku troskliwej ręki, rozpadł się w gruzy,



Kościół w Machnówce.

a dziś już nic nie jest w stanie wskazać miejsca, gdzie była siedziba rycerzy. Dopiero po kilkunastu latach, około r. 1712 Machnówka dźwignęła się z gruzów i powoli, z trudem, ciężkim zaczęła odradzać się na nowo, ale było to już nie za władania Tyszkiewiczów, albowiem po Krzysztofie T. i następnie synu jego Eustachym, dwie części tych dóbr przeszły w posiadanie Głębockich, a trzecia część, także spadkowo, po Kazimierzu T., podkom. brześć, przez kobiety przelała się do Stetkiewiczów. Jednakże spadkobiercy wkrótce sprzedali dobra i tak: od Głębockich dwie części onych dóbr kupił królewicz Aleks. Sobieski, od tegoż następnie kupili ks. Sapiehowie, a od tych nareszcie nabył Antoni Michał Potocki, wojewoda bełzki i starosta guzowski. Co do części trzeciej to i ta została sprzedaną ks. Radziwiłłom. Machnówka, zaludniona na nowo w tych czasach, swoją dawną odmieniła posadę; już nie na prawym brzegu Hnylopiatu jak przedtem, ale na lewym osiedlać się zaczęła. Prot Potocki, starosta guzowski, potem wojewoda kijowski, wnuk Antoniego, objąwszy w posiadanie Machnówkę, zrobił ją ogniskiem przemysłu i, sprowadziwszy biegłych fabrykantów, uczynił fabryczną osadą, której wyroby rozwożono daleko po świecie. Łożył na koszta, nie żałował nakładów pieniężnych, tak, że z dzikiej wprzódy, przekształcił Machnówkę w pełną powabu miejscowość. Gdy nastały spokojniejsze czasy i zakwitło w miasteczku przedewszystkiem tkactwo, Machnówka szybko się rozwinęła i przyjęła pozór miasta. Dotąd z czasu Prota pozostało jej miano „murowanej,“ bo też Prot rozszerzył i upiększył miasteczko murami, których rozwaliny i dziś widzieć się dają.

Na starej Machnówce Prot postawił sobie pałac i ogród w guście angielskim założył. Nie żałował też Prot grosza na tę budowę i stworzył prawdziwie wspaniałą siedzibę. Kiedy prawo o miastach zapadło na sejmie

czteroletnim r. 1791, król Stanisław August, na prośbę Prota, dał pozwolenie na dwa jarmarki do roku i 2 targi tygodniowe, w poniedziałek i piątek każdego tygodnia. Nowy właściciel jednak wkrótce z powodu śmiałych przedsiębiorstw stracił fortunę, a dobra przeszły w inne ręce. Machnów-



Walka o majorat.
Sześcioletni syn oskarżonych Józef hr. Kwilecki w gmachu sądowym na Moabicie w towarzystwie siostry.

ka upadła, ale w r. 1796 wyniesiono ją do rzędu miast powiatowych i zostawszy siedzibą władz rządowych znacznie się ożywia i wzrastać nieco poczyna. Z późniejszych dziejów wspomnimy jeszcze, że w roku 1841 Machnówka dotknięta została wielkim pożarem, który też zniszczył większą część osady.

Roku 1846 powiat z Machnówki został przeniesiony do Berdyczowa. Odtąd Machnówka zeszła do rzędu ubogich miasteczek i straciła ślad niegdyś świetnej swej przeszłości. Drobny handel jest w rękach żydów, większe zaś obroty uskuteczniają się na jarmarkach. Są tu dwie cerkwie: jedna Narodzenia N. M. Panny zbudowana r. 1770, i druga pod wezwaniem św. Jerzego, na przedmieściu, z r. 1750. Z pierwszych czasów kościół parafialny machnowski księży świeckich pod wezwaniem św. Jana Nepomucena mieścił się czasowo w murach zniszczonego za wojen kozackich bernardyńskiego kościoła, ale że ten był bardzo zrujnowanym i mury niebezpieczne, Prot Potocki w r. 1794 przerobił magazyn na dom modlitwy i dopiero proboszcz ks. Luchowski około 1840 r. zajął się przebudowaniem presbiteryum i wzniesieniem dwóch wieżyczek na froncie, istniejących przy dzisiejszym kościele. Ale w krótkim już czasie Machnówka pozyska nową świątynię na miejsce starego, już zniszczonego i przytem zbyt małego, kościółka. Plany wykończył budowniczy Jan Hinz. Nowy kościół, kosztem parafian budowany, będzie w stylu romańskim, krzyżowy, z jedną wieżą na froncie, obliczony na 3,000 ludzi. Dnia 16 maja r. b. dokonano poświęcenia kamienia węgielnego. Ceremonii dopełnił proboszcz z Pohrebyszcz, ks. dziekan Łosiński, w otoczeniu licznego duchowieństwa z parafii sąsiednich i przy udziale tłumnie zgromadzonego ludu.

Wspomnienia godną jest ta okoliczność, iż tutaj żył Tomasz Padura, poeta ukraiński. Padura, syn Jana, komornika bracławskiego i Anieli z Paszkowskich, urodził się dnia 21 grudnia r. 1801 w Ilińcach w pow. lipowieckim. Po ukończeniu szkoły winnickiej, w r. 1820 Padura wstąpił do liceum krzemienieckiego, ukończył zaś je w r. 1825. Pierwsze utwory Padury datują się z czasów jego pobytu w Krzemieńcu. Utwory Tomasza krążyły początkowo tylko w odpisach i z ust do ust były podawane. W druku spotykamy się z jego utworami dopiero w r. 1829. Większa część utworów Padury wydrukowano po jego śmierci we Lwowie. Padura należał do rzędu poetów, których utwory lud sobie przyswaja, a twórcy one dają sławę bezimienną. Zmarł 8 września r. 1871, u swego druha, Maryana Wasiutyńskiego w Koziatynie, dokąd nieraz z Machnówki dojeżdżał. Na cmentarzu machnowieckim pod płytą z granitu spoczywają jego zwłoki. Napis na płycie: W pamięć Tomaszowi Padurze pieśniarzowi Ukrainy, rodacy położyli kamień r. 1880. Ur. 21 grudnia 1801, zmarł 8 września r. 1871. Jest tu także grób Sylwestra Grozy, autora: Opisania mogił i innych starożytności pow. machnowieckiego.

Ignacy Witeljusz.

Walka o majorat.

Głośny i sensacyjny proces hr. Węsierskiej-Kwileckiej — ten wielki z życia wzięty romans — toczy się czwarty tydzień w Berlinie przed sądem w Moabicie. Pomimo, że już prawie wszystkich przesłuchano świadków i znawców, sprawa o „rzekome podsunięcie dziecka“ nie wyjaśniła się wcale i dotychczas proces rozstrzyga się na korzyść oskarżonych.

Wielkie wrażenie wywarło aresztowanie w dniu 5-go bm. świadka Maryanny Bęckowskiej, kucharki z Wróblewa, ponieważ dopuścić się miała w procesie powyższym świadomego krzywoprzysięstwa. Chudą zmizerowaną kobietę, trzymającą jednoroczne dziecko na ręku, odprowadzono natychmiast z sali sądowej do więzienia.

Dla jasnego zrozumienia tak rozgłośnej dziś sprawy nie będzie z pewnością bez interesu dla Czytelników naszych następujące wyjaśnienie, zamieszczone w „Wieku“:

„Współoskarzony w procesie, hr. Zbigniew Węsierski - Kwilecki, jest Kwileckim tylko po kądzieli, jego matka bowiem, Ludwika z hr. Kwileckich, córka hr. Józefa Kwileckiego, poszła za Albina Belinę Węsierskiego, dziedzica Zakrzewa. Majorat wróblewski zrobił na imię hr. Zbygniewa dziad jego macierzysty, hr. Józef Kwilecki, pod warunkiem, aby dziedziczący majorat wnuk jego przybrał do rodowego nazwiska Węsierskich nazwisko matki, t. j. Kwileckich. Ztąd podwójne nazwisko dziedzica majoratu.

Już wówczas nie w smak poszło rodzinie Kwileckich, że tak piękny majątek, uważany, zaraz po Kwilczu, za główne dobra rodzinne, wychodzi z posiadania istotnych dziedziców po mieczu. To też, kiedy hr. Węsiersko-Kwilecki, doszedłszy do 56 roku życia, nie miał męzkiego potomka (pierwszy syn zmarł dzieckiem), uprawdopodobniały się coraz bardziej nadzieje, że Wróblewo, choć mocno podszargane, powróci do właściwych Kwileckich. Przyjście



Walka o majorat.
Oskarżoną hrabinę Węsierską-Kwilecką odprowadza woźny ze sali sądowej do celi więziennej.

na świat potomka, kwestyonowanego w procesie, było grobem dla tych nadziei. Żył jeszcze wówczas zmarły przed trzema laty Stefan hr. Kwilecki, właściciel Kwilcza (po którym milionowy spadek przypadł właśnie Hektorowi hr. Kwileckiemu), stary kawaler, a najbliższy z pomiędzy agnatów właścicieli majoratu. Namawiano go,

aby korzystając z wieści o „udanem“ przyjściu na świat męzkiego potomka i dziedzica Wróblewa, wytoczył proces Zbigniewowi hr. Węsiersko-Kwileckiemu i jego małżonce o podstawienie dziecka. Ale hr. Stefan, znany zresztą jako *prawdziwy gentelman* oparł się temu kategorycznie, twierdząc, że: proces, w który zawiklanoby całą rodzinę i nazwisko Kwileckich, byłby stokroć gorszym i boleśniejszym, niż zrezygnowanie z Wróblewa w tych warunkach — bez względu na to, czy pogłoski o urodzeniu dziedzica są zmyślone lub prawdziwe. Skutkiem tego, cokolwiek mówią o urodzeniu tego dziedzica majoratu, to skandalu podobnego jak twierdził, dopóki on żyje i jest najbliższym właścicieli majoratu agnatem, do procesu nie dopuści.

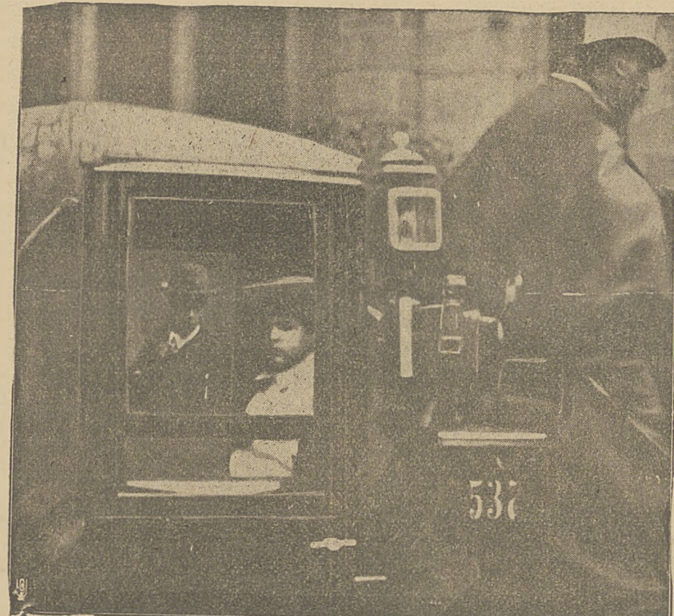
Proces dowiódł już do obecnej chwili, o ile zapatrywania Stefana hr. Kwileckiego były słuszne, a obawy pod tym względem trafne.

Znawcy warunków miejscowych twierdzą nadto, że pomimo zadłużenia i nieświetnego stanu gospodarstwa we Wróblewie, włożenie w majątek ten 3 do 4 kroć sto tysięcy marek nadałoby mu wartość rzeczywistą około 4 milionów marek.

I jeszcze jedno: pisma prostują słowa pr. sądu w procesie, wypowiedziane zaraz na początku sprawy w tym sensie, jakoby: „po skończeniu tej sprawy nastąpić miała bezwględnie sprawa o krzywoprzysięstwo przeciw dwom paniom, małżonkom właścicieli ziemskich,“ — co w niektórych sprawozdaniach wydrukowano. Tego prezydent nie mógł wyrzec, tylko: „Na wypadek skazania podsądnych o podsunięcie dziecka, proces o krzywoprzysięztwo przeciw dwom paniom byłby dalszą sprawy obecnej konsekwencyą“, ponieważ panie te zeznały pod przysięgą w procesie cywilnym, jaki się odbył przed półtrzecia rokiem w Poznaniu o uznanie prawowitości dziecka, że były obecne przy rozwiązaniu jego matki. Gdyby proces obecny skończył się pomyślnie dla obwinionych, ustałyby tem samem wszelkie jego następstwa. — Mowa tu o paniach Emilii Moszczeńskiej z Brudzynia, siostrze oskarżonego hr. Zbygniewa i p. Koczorowskiej, właścicielce ziemskiej z Królestwa Polskiego, a przyjaciółce oskarzonej hrabiny Izabelli.“

W dniu 11-ym b. m. nie było posiedzenia publicznego w sali sądowej w Moabicie. Odbyło się tylko posiedzenie przy drzwiach zamkniętych, a więc z wykluczeniem publiczności.

Posiedzenie to jednak było z dotychczasowych może najważniejszem w procesie. Oto w wielkiej sali posiedzeń zebrała się wyznaczona przez sąd komisya do zbadania podobieństwa: a) pomiędzy sześcioletnim synem oskarżonych Józefem hr. Kwileckim a synem wówczas Parczówny obecnie Meyerowej, b) pomiędzy Józefem hr. Kwileckim a jego rodziną, głównie matką, oskarzoną hrabiną Izabellą z hr. Bnińskich Węsierską-Kwilecką.



Walka o majorat.
Sześcioletni syn oskarżonych Józef hr. Kwilecki jedzie w dorożce do sądu na Moabit.

W sali byli obecni: lekarz sądowy dr. Störmer i lekarz sądowy prof. dr. Strassman, oraz malarz-portrecista prof. Vogel. Ci trzej panowie powołani jako rzeczoznawcy, stanowili istotną komisyę. Oprócz tego byli obecni: obrońcy, prokuratorowie, oraz oskarżeni: hrabina Węsierska-Kwilecka i jej mąż hr. Zbigniew — nakoniec główna, choć bezwiedna osoba procesu: sześcioletni hr. Józef Adolf Stanisław Kwilecki i nieprawy syn Cecylii Parczówny, dziś żony dróżnika Meyera. Prace komisyi trwały trzy godziny — od 9 rano do 12 w południe.

Rezultat badań, który dla strony skarżącej uważać można prawie za morderczy, a dla oskarżonych jaknajpomyślniejszy, brzmi w dosłownym przekładzie:

„Pomiędzy urodzonym w roku 1895 starszym a naturalnym synem dzisiejszej Cecylii Meyerowej, ur. Parczówny, a sześcioletnim „pretendentem“ *(sic)* do majoratu wróblewskiego, hrabią Józefem Adolfem Stanisławem Węsierskim-Kwileckim, nie stwierdzono żadnego rysu, świadczyć mogącego o podobieństwie rodzinnem.“

„Z drugiej strony tak rysy twarzy, jak kształty ciała, tak hrabiego jak oskarżonej hrabiny Izabelli Węsierskiej-Kwileckiej, wykazują nadzwyczajne podobieństwo rodzinne. Obok rysów twarzy, uderza formacya konch usznych, nieledwie indentyczna.“

Werdykt ten, ogłoszony natychmiast sprawił istotną sensacyę, tembardziej, że proces jest ciągle na us-



Walka o majorat.
Włościanki z Wróblewa i inne osoby, powołane na świadków, przed gmachem sądowym na Moabicie.

tach wszystkich, roznamiętnia publiczność, a stal się równocześnie najpoczytniejszym w gazetach. Kobiety, prawie bez wyjątku, od samego rozpoczęcia procesu stojące po stronie oskarżonej hrabiny, obecnie, po ogłoszonym werdykcie komisyi, tryumfują na całej linii.

Gazety, drukując artykuły mniej więcej na ten temat: Do jakiego stopnia podobieństwo stwierdzone być może sądownie — cytują przytem zdania rozmaitych powag naukowych w tym kierunku i t. d.

Oprócz tego komentuje tak prasa jak publiczność, dwa ważne momenta, na które tak strona skarżąca, jak prokuratorya tyle kładła wagi, a które niczego nie dowiodły. Przeciwnie, wyrobiły one przekonanie, że jeśli fakt sprzedania syna przez Parczównę i zawiezienia go do Berlina jest dopuszczalnym, to z zeznań i zestawień innych faktów, temu towarzyszących, bynajmniej nie wypływa, aby syn ten miał być właśnie przeznaczonym dla hrabiny Węsierskiej- Kwileckiej, tem mniej, ponieważ obecny w kilka godzin po odbyciu słabości hrabiny dr. Rosiński, oraz inne osoby, widziały chłopca nowonarodzonego w poduszce, a czyniącego wrażenie noworodka — podczas gdy drugi syn Parczówny w dniu tym byłby już dzieckiem miesięcznem.

Również podejrzaną, ze względu na stronę skarżącą jest okoliczność, że starszy syn Parczówny został ubrany rzekomo z funduszów prokuratora, ale rzecz dziwna! — ubrany tak, aby na oko sprawiał wrażenie podobieństwa do swego, imputowanego mu przez skargę, brata. Okolicznością zaś jeszcze bardziej obciążającą jest to, że ubranie to, mianowicie biały płaszczyk wybierał dlań jeden z głównych i głośnych świadków w procesie.

Środek ten, który można nazwać rozpaczliwym ze strony głównych powodów procesu, a obliczonym na działanie przez suggestyę na sędziów przysięgłych — był pomyślany, a przedewszystkiem przeprowadzony w sposób tak niezręczny i nieoględny, że łatwo będzie obronie z tego skorzystać i wykazać, do jakich machinacyi uciekają się ci, którzy w procesie tym są *prawdziwie* zainteresowani......

Zamieszczone cztery ryciny obrazują sylwetki oskarzonych i świadków występujących w procesie.

Proces skończy się prawdopodobnie w bieżącym miesiącu.

—ski.

Nasze illustracye.

Artur Ricci. — Toast weselny. A Ricci, współczesny malarz włoski, celuje w odtwarzaniu scen z życia Francyi z epoki Ludwików XIV i XV. W naszej illustracyi albumowej zobrazowana jest piękna scena z godów weselnych, mianowicie chwila, w której biesiadnicy toastują na cześć młodej pary.

—ski.

Jeden uśmiech.

Gdy nędzarz w biedzie ludziom złorzeczy,
Gdy się na swoje targać chce życie,
Czy go już wtedy nikt nie wyleczy,
Czy już za niczem nie tęskni skrycie?
. . . .
Nie! w jego sercu budzi się echem
Pogoń za jednym szczęścia uśmiechem.

Gdy kochasz kogo bez wzajemności,
Czy się nie łudzisz nigdy nadzieją,
Że w twej wybranej sercu zagości
Płomień tych uczuć, które rozwieją
Niechęć ku tobie, a stworzą Eden?
. . . .
Wtedy wystarcza jej uśmiech jeden!

Gdy myśli czarne życie zatrują,
Gdy ci zwątpienie serce rozdziera,
Gdy krasy wiosny cię nie radują,
Czy ci radością pierś twa nie wzbiera,
Kiedy w pokrytej pyłem starości
Odnajdziesz jeden uśmiech młodości?

Ha marne życie! Lecz czemby było
Bez szczęścia, które śmiech radość nieci?..
. . . .
Chyba bez słońca gnuśną mogiłą,
Albo jaskinią, w której nie świeci
Nigdy radości łza nieskalana —
W sercu poczęta: czysta, świetlana!

Kazimierz Pollack.

Wspomnienie z niewoli moskiewskiej *roku 1863-go.*

przez **B. M.**

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz przybyliśmy do Radomia. Odprowadzono nas wprost do więzienia, które po kieleckiem, bardzo przykre na nas zrobiło wrażenie. Nie robiono tu żadnej różnicy między aresztowanymi, a jeżeli może były jakie „protekcjonalne“ kaźnie, nam się one nie dostały. Wsadzono nas wszystkich trzech do maleńkiej celi, w której już było 13 więźni. Okno jedno tylko i to do połowy zamurowane, ciemnota, brud i smród nadzwyczajny, nawet słoma służąca za pościel zupełnie zgniła. Zepsuci wygodami, jakich w porównaniu z tem wszystkiem doznawaliśmy w Kielcach, nie mogliśmy się oswoić z myślą, że tu mieszkać będziemy musieli. Przypomnieliśmy sobie nakoniec, że u Moskali jest na wszystko jeden sposób, równie niezawodny jak uniwersalny, i udaliśmy się do podoficera, pełniącego obowiązek ,klucznika...

— Panie Unteroficer, nie możnaby też lepszej słomy dostać?

— Dla buntowszczyków *niet lepszoj!* — była odpowiedź.

— Ale przecież, choć trochę — odparłem wsuwając mu w rękę trzy złote.

—Da pasmatrim! i za kwadrans przyniósł nam świeżej słomy.

— Panie Unteroficer, a nie możnaby też mieć wygodniejszy pokój dla nas trzech?

Skrzywił się trochę, ale gdy uczuł w ręku znowu trzy złote towarzyszące mojej prośbie, udobruchał się prędko i znowu powiedział:

— *Da pasmatrim!*

Nazajutrz oświadczył nam, że dostaniemy lepsze pomieszkanie w apartamencie zwanym „Galicyą“ z powodu, że w nim mieszczono pierwej wielu jeńców z Galicyi. Nastąpić to jednak mogło dopiero po odejściu transportu więźniów, przeznaczonego do Warszawy. Tymczasem przeniesiono nas do małego pokoiku, którego lokator, ksiądz jakiś, zachorował był właśnie i przeniósł się do szpitalu. Dzięki uprzejmości naszego protektora, który wprawdzie lubił złotówki, ale sumiennie za nie się odpłacał, zastaliśmy tam sienniki, koce, a nawet mały stół i krzesełko. Była to właśnie owa cela, z której wywieziono na śmierć pułkownika Chmieleńskiego. Nadaremnie szukaliśmy w niej jakiego śladu po tym wielkim człowieku. Z okna widać było tylko mur, opasujący zabudowanie więzienne. Odosobnienie nasze było zupełne, czas przechadzki ograniczony, na kurytarz nawet nie wolno było wychodzić, słowem, wszystko gorzej niż w Kielcach. Tam codzień odwiedzał nas oficer dyżurny, przed którym można się było użalić, gdy nam krzywdę jaką wyrządzono, tu cztery tygodnie minęły, nim się który pokazał. Książki takie tylko wolno było czytać, które przechodziły przez ręce prezesa sądu wojennego. Za jego tylko pozwoleniem można było widzieć się ze znajomymi lub krewny-

mi, i to na pół godziny, w przytomności oficera. Wikt kazienny, przyrządzany przez sałdata, był szkaradny; za własne jednak pieniądze dozwolono nam kazać sobie przynosić jedzenie z traktyjerni, kosztowało to nie wiele, bo tylko jeden złp. od osoby dziennie.

Pierwszy tydzień szczególnie, przepędzony w Radomiu, był dla nas bardzo przykry. Pokoik był tak mały, że gdy jeden z nas chodził, drudzy musieli siedzieć na pryczy. Nie mieliśmy z początku książek, ani też kart lub szachów i całe dnie przepędzaliśmy na rozpamiętywaniu smutnego naszego położenia. Nakoniec wyprawiono do Warszawy transport, złożony z 200 jeńców, a gdy tym sposobem przybyło więcej miejsca w więzieniu, podoficer nasz za rubla przeniósł nas wreszcie do owej „Galicji,“ o której marzyliśmy już jak o ziemi obiecanej. Składała się ona z trzech pokoi na pierwszem piętrze, w których zastaliśmy tylko siedmiu lokatorów. Okna duże, zakratowane, ale bez koszow, wychodziły na podwórza więzienne, ale ponad mur opasujący te ostatnie, mogliśmy widzieć część miasta. Weselej się nam tu jakoś zrobiło, bo było nas więcej. Dla więźnia nie ma nic okropniejszego nad brak towarzystwa. Nieraz zastanawiałem się nad okropnym losem tych, których skazywano na samotność. Poznałem w Radomiu staruszka, obywatela z Sandomirskiego, uwięzionego niegdyś r. 1846 w cytadeli warszawskiej, gdzie rok przesiedział w towarzystwie drugiego więźnia, cierpiącego pomięszanie zmysłów, a potem dwa lata w zupełnej samotności. Otrzymawszy nakoniec wyrok, zasłany został w Sybir, gdzie 9 lat przebiedował. Roku 1863 aresztowano go powtórnie i uwolniono dopiero po 7-miu miesiącach. Smutniejszego jeszcze losu doznał inny obywatel z Krakowskiego, z którym także zrobiłem znajomość w więzieniu Radomskiem. Należał on do spisku w r. 1846 i po całorocznem śledztwie w cytadeli warszawskiej skazany był na śmierć przez powieszenie. Zakutego w kajdany odwiedził ojciec, pułkownik w służbie moskiewskiej, i wyrzucał mu, że czynem swoim i zasłużoną śmiercią splamił — ród szlachecki!

— Nie splamiłem go ojcze! ale krwią moją zmyję hańbę, którą szlify twoje na nasz klejnot ściągnęły! — odpowiedział syn rozżalony.

Nazajutrz u stóp szubienicy przeczytano mu wyrok, na mocy którego kara śmierci w drodze łaski zmienioną została na katorżne roboty. Po kilkunastu latach cierpień powrócił młody jeszcze, ale ze zdrowiem nadwątlonem ciężkiemi mękami wygnania. Ledwie dotknął nogą ziemi ojczystej, gdy powtórnie pochwycony i osadzony w więzieniu i po drugi raz w Sybir zesłany został. Takiego to losu doznał niejeden z naszych ziomków, i na całej kuli ziemskiej nigdzie go nikt nie doświadczy, tylko w Polsce.

O wyrokach naszych, posłanych do Warszawy, nie mogliśmy się niczego dowiedzieć. Po miesiącu przyprowadzono do nas księdza, który dotychczas siedział w szpitalu. Otrzymał on już był wyrok, skazujący go do robót katorżnych, mimo to nie stracił humoru, którego z natury miał nie mało. Wbiegłszy do pokoju, witał się z każdym z nas, jakby z dobrymi znajomymi, i pytał o nazwisko. Usłyszawszy nasze zawołał:

— Poczciwcy! Znam wasz wyrok!

— Jaki?

— Na śmierć przez rozstrzelanie!

Wszyscy koło nas stojący więźniowie zmięszali się i patrzyli na nas z osłupieniem, zrobiła się cisza ogólna. Widząc to, kochany księżunio zmięszał się i dodał:

— Nie róbcie sobie nic z tego. Czengiery sam za wami się wstawiał w Warszawie pisemnie, a nawet podobnoś ustnie, będąc teraz u gubernatora. Wiadomości te zebrał był ksiądz w szpitalu, zkąd łatwiej było komunikować się z miastem. Nazajutrz wywieziono go w Sybir, a my zostaliśmy znowu w dawniejszej niepewności; tylko Monseu na żaden sposób nie chciał przypuszczać, że nas Moskale rozstrzelają. Był nawet wesół i układał plany, jak mamy obchodzić zbliżające się święta Wielkanocne. W wielką sobotę wieczorem, siedzieliśmy wszyscy razem i grali w wista dla przepędzenia czasu. O pół do jedenastej w nocy drzwi więzienia otwierają się z trzaskiem i wchodzi podoficer z dwoma żołnierzami, i z dziwną, jakąś złowrogą miną przystępuje do Monseu'go, trzymającego jeszcze karty w ręku.

— Jak się pan nazywasz?

— Monseu.

— Jak jeszcze?

— Leopold.

— Proszę pana za mną do kancelarji.

Monseu wyszedł z nim, nie pożegnawszy się nawet z nami; może jeszcze nie przeczuwał, żeśmy się widzieli poraz ostatni!

Domyślałem się dobrze co to wszystko miało znaczyć, i łatwo sobie wyobrazić, z jakiem biciem serca oczekiwałem, rychło też przyjdą i po mnie. Z największem natężeniem przysłuchiwałem, rychło też przyjdą i po mnie. Patrzałem w okno, czy podoficer z żołnierzami nie idzie znowu do nas z kancelarji. Nakoniec ujrzałem trzy cienie, przesuwające się przez dziedziniec. Zeskoczyłem z okna i szybko pobiegłem do stołu, żeby ołówkiem nakreślić kilka słów pożegnalnych do mojej matki. Oddałem je jednemu z kolegów, zaklinając go, by je zaraz po mojej śmierci wyprawił na miejsce przeznaczenia. W tem dał się słyszeć zwykły łoskot, towarzyszący otwieraniu drzwi. Podoficer znowu wszedł do kaźni, tą razą sam jeden.

— Czy po mnie? — spytałem go machinalnie.

— Nie — odpowiedział wpatrując się we mnie — po rzeczy pana Monseu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Moja legenda.

Malwinie na pamiątkę.

Było to niegdyś.... Tak niedawno było,
Kiedy mi słońce świeciło złociście,
A serce jeno tem kochaniem żyło,
Co z twojej duszy sączyło się czyście,
I byłem wiary pełen w to słoneczne
Zlanie się duchów i kochanie — wieczne.

Był dla mnie szału czas, wiosny i słońca,
Gdy się dwa serca modlą, milczą usta,
Czas on, co nazbyt szybko mknie do końca,
Czas, poza którym droga życia pusta,
Czas, co raz tylko w życiu losy przędą.
Był ten czas niegdyś.... Pozostał legendą.

Zniknąś mi nagle, jak duchy świetliste,
Rzucając serca mego jasne łany,
Kędym ukrywał to kochanie czyste
I z tą miłością chodził rozśpiewany,
Zniknąś mi nagle, jak znika wesele.
I głucho w sercu, jak w pustym kościele.

I wiem, że choćbym klął na cię z boleści,
Za snami płakał owymi, jak dzieci,
Nowego życia nic mi nie obwieści,
Nad moją głową słowik już nie wzleci,
Miłości goniec.... W sercu stlały żary...
Pozamną, we mnie, przedemną mrok szary....

I wiem, że dusza moja wiecznie płacze,
Ze sen on rzucić musiała tęczowy,
I wiem, żem smutny, jak ptaki — tułacze,
Jak ten dzisiejszy cichy dzień zimowy,
I wiem, że jedno zostało: — tęsknota —
I owych jasnych dni — legenda złota.

Dębica, Galicya, 9. XI. 1903.

Stanisław Wyrwicz-Walawski.

Los śmierci.

(Dokończenie).

Nazajutrz rano matka nie mogła wstać z łóżka. Otaczali ją doktorowie i siostry miłosierdzia, szepcząc cicho między sobą. Małej Abby zabroniono wchodzić do pokoju chorej, natomiast pozwolono jej wyjść i bawić się na ulicy.

— Mamusia ciężko chora,

Dziewczynka otulona w ciepłe zimowe ubranie, wyszła przed dom i bawiła się przez chwilę. Nagle przyszło jej na myśl, że ojciec zadługo bawi na zamku, kiedy mama chora.

Trzeba pójść po niego.

W godzinę potem sąd wojenny zebrał się znowu przed obliczem naczelnego wodza.

Groźny władca stał z ponurą miną, oparty pięściami o stół i skinieniem głowy dał znak przybyłym, ażeby mówili.

— Jeszcze raz przełożyliśmy im rzecz całą — zaczął jeden z sędziów — i staraliśmy się przekonać, lecz oni obstają uparcie przy swojem postanowieniu, gotowi są raczej umrzeć, niż popełnić wykroczenie przeciwko religii.

Protektor milcząc zmarszczył się, a po chwili powiedział:

— Nie powinni umierać wszyscy, trzeba dla nich los wyciągnąć.

Obecni postanowienie to przyjęli z radością.

— Wprowadźcie więźniów do tamtego pokoju. Niech się ustawią rzędem, twarzami do ściany, z rękami założonemi w tył. Dać mi znak jak przybędą.

Po wyjściu sędziów, Cromwell przywołał adjutanta i wydał następujący rozkaz:

— Przyprowadzić tu dziecko jakie, pierwsze spotkane na ulicy.

Zaledwie oficer zamknął za sobą drzwi, kiedy znowu powrócił, prowadząc małą Abby, całą osypaną śniegiem. Bez obawy szła mała do groźnego wodza, przed którym drżeli książęta i królowie.

Skoczyła mu na kolana i powiedziała wesoło:

— Ja ciebie znam, ty jesteś najgłówniejszym generałem. Ciebie boją się wszyscy, ale ja — nie. Widziałam cię kiedyś, jak przejeżdżałeś z wojskiem około naszego domu. Miałam wtedy czerwoną sukienkę — czy pamiętasz mnie.

Słaby uśmiech przemknął po twarzy protektora, kiedy dyplomatycznie odpowiedział:

— Tak naturalnie... to było...

— Stałam przed domem, przed naszym domem, wiesz.

— Hm... miłe stworzenie... doprawdy to wstyd, ale ja...

Dziecko przerwało mu z żywością:

— Tak, tak, ja wiem, ty zapomniałeś, ale ja nie.

Wstydzę się bardzo tego i daję słowo honoru, że więcej nie zapomnę się nigdy. Nieprawdaż, przebaczysz mi to i będziemy znowu przyjaciółmi.

— O, naturalnie . Chociaż nie rozumiem, jak mogłeś mnie zapomnieć. Jesteś widać wielki zapominalski. I ja bywam nim czasem, tak mówi moja Betty . Ale ja się nie gniewam na ciebie, bo myślę, że jesteś dobrym, tak dobrym, jak... Ale posadź mnie lepiej na kolana i przytul do siebie, tak jak to tatuś robi. Mnie tak zimno...

No, chodź tu, nowa przyjacіołeczko, od dzisiaj będziesz starą przyjaciółką. Przypominasz mi moją córeczkę, kiedy była jeszcze mała — teraz już duża. I ona była kiedyś takiem słodkiem, małem, pieszczotliwem stworzeniem i tak samo, jak ty — umiała wszystkich czarować. Ty mała czarodziejko... Tak samo tuliła się w moich ramionach i pieszczotami swemi usuwała mi z serca smutki i kłopoty, Byliśmy dla siebie przyjaciółmi i towarzyszami zabaw. Ale to już bardzo dawno temu! Dawno już znikło dla mnie to niebo, pełne radości i nastała ciemność... I ty mi to wszystko przypomniałaś, miłe, nieznane dziecko. Przyjm za to błogosławieństwo od zmęczonego ciężką pracą twego starego przyjaciela. Ty mała istotko, która każesz mi zapomnieć o obowiązkach względem Anglii.

— A czy chętnie spełniasz wszystkie obowiązki dla niej?

— Zobaczysz to sama... — wszelkim jej rozkazom jestem posłuszny.

—Jakiś ty dobry, czy chcesz mnie pocałować.

— Z całego serca... będę z tego dumny. To dla ciebie, a tamto — dla niej, dla Anglii. Prosisz mnie o to, a mogłabyś rozkazywać, bo w tej chwili zajęłaś u mnie jej miejsce, a więc muszę spełnić wszystko, czego zażądasz.

Dziecko klasnęło w dłonie, rade z nowego zwycięstwa.

W tej chwili szmer jakiś, podobny do odgłosu maszerowania wojska, doleciał ich uszu.

— Żołnierze! żołnierze! Abby chce ich zobaczyć.

— Musisz ich zobaczyć, moje dziecko, tylko zaczekaj chwilkę, mam ci coś powiedzieć.

Do pokoju wszedł oficer i odsalutowawszy, zawiadomił że skazańcy przybyli.

Cromwell podał małej Abbie trzy kule woskowe, z których dwie były białe, a jedna czerwona — ten, który ją dostanie, ma zginąć.

—Ach, jaka śliczna, czerwona, czy to dla mnie wszystkie?

— Nie dziecko, to dla innych ludzi.

Posłuchaj, za tą kotarą są drzwi, otwórz je i wejdź do tamtego pokoju. Ujrzysz tam trzech ludzi, stojących rzędem, odwróconych plecami, każdy z nich ma ręce w tył założone. Do tych rąk włóż każdemu z nich jedną kulę i wracaj tu do mnie.

Mała pobiegła za kotarę i znikła za drzwiami.

Cromwell, pozostawszy sam, zamyślił się głęboko .

— Sam Bóg zesłał mi tę myśl, czuję w tem jego pomoc. On wie, który z nich umrzeć musi i natchnął mnie, aby się spełniła jego wola. My ludzie możemy błądzić, lecz On jest nieomylny.. Dziwne są drogi Jego i niezgłębiona mądrość Boga... Niech Imię Jego będzie błogosławione...

Mała Abby, wszedłszy do wskazanego pokoju, naprzód stała chwilkę, przyglądając się żołnierzom i trzem skazańcom.

Nagle twarzyczka jej zajaśniała radością.

— Ten, to mój tatuś, poznaję go, chociaż stoi odwrócony — jemu dam najładniejszą kulę.

Zadowolona z odkrycia, pobiegła i rozdała trzymane w ręku kule, poczem wychyliła ku ojcu swoją rozjaśnioną twarzyczkę i zawołała:

— Zobacz tatusiu, coś ty dostał, to ja ci dałam.

Pułkownik Mayfar spojrzał na złowrogi dar, jaki otrzymał i domyślił się, co go czeka.

Tłumiąc w sobie boleść, pełen miłości przyklęknął na kolana i przycisnął do swej piersi małą nieświadomą sprawczynię swego nieszczęścia.

Żołnierze, oficerowie i dwaj inni więźniowie stali skamieniali wobec tej strasznej tragedyi. W oczach ich pojawiły się łzy.

Wśród ponurej ciszy, jaka panowała, zbliżył się oficer straży do więźnia i trącając go lekko w ramie, powiedział głosem łagodnym:

— Bardzo mi to przykro... lecz obowiązek nakazuje...

— Co nakazuje? — spytało nagle dziecko.

— Ażebym wyprowadził ztąd pułkownika.

— Dokąd?

— Do... do... Boże dopomóż mi! Na drugą połowę przedstawienia.

— Teraz nie można. Mama jest chora i my z tatusiem pójdziemy do domu. Chodź ojczulku, chodź — dodała, kręcąc się na kolanach ojca i ude-

rząjąc go zlekka w plecy.

— Moje najbiedniejsze dziecko, ja nie mogę, ja muszę z nim iść...

Dziecko wyrwało się od ojca i przerażonym wzrokiem patrzyło dokoła. Nagle, podbiegła do oficera straży i tupnąwszy przed nim nóżką, gniewnie zawołała.

— Słyszałeś przecie, że mamusia chora. Mówię ci puść go, on musi ze mną iść...

— Biedne dziecko, niech Bóg na to zezwoli, ja nie mogę, muszę go wyprowadzić. Baczność, broń na ramię, marsz!

Abby, jak błyskawica znikła z pokoju i w tej chwili wróciła, ciągnąc za rękę protektora Cromvella.

Na widok tego ostatniego, oficerowie i żołnierze poczęli salutować.

— Patrz, moja mama kona i woła: tatusiu, ja im to mówiłam, ale oni słuchać mnie nie chcą, każ im puścić go.

Głównodowodzący doznał uczucia, jakby go żmija ugryzła.

— Twój ojciec?... to twój ojciec?...

— Naturalnie, to przecież mój tatuś, dlatego też dałam mu tę ładną kulę czerwoną.

Na twarzy jenerala odbiło się przerażenie.

— Boże ratuj mnie! Za namową szatana chyba, popełniłem rzecz najokropniejszą, jaką człowiek spełnić może, co teraz począć! co robić!

Abby zniecierpliwiona i rozdrażniona jego milczeniem, w tej chwili zawołała.

— Przecież masz prawo kazać im, żeby go puścili. Obiecałeś mi zrobić wszystko, co ci każę —, mówiła dalej już z płaczem — a teraz kiedy proszę, nie chcesz tego zrobić.

Twarz starego wojaka rozjaśniła się, położył rękę na główce małej despotki i powiedział:

— Niech Bóg będzie pochwalony za ratunek, jaki znajduję w tem przyrzeczeniu i ty bądź błogosławiona, żeś mi je przypomniała. Błogosławieństwo Boskie czuwa nad tobą, dziecko. Żołnierze!... słuchać jej rozkazu, ona mówi przez moje usta. Skazaniec jest wolny — puścić go!...

Marek Twain.

Wiadomości.

— **Policya** *podczas ostatniej w naszej redakcyi odbytej rewizyi zabrała nam między innemi papierami także dalszy rękopis powieści p. t. „Śpiewaczka ludowa“ i dotychczas go nie zwróciła. Z tego powodu dajemy w niniejszym numerze tylko pół arkusza wzmiankowanej powieści z nadmienieniem, iż w dalszych zeszytach zamieszczać ją będziemy, jak dotychczas, w arkuszowych dodatkach.*

Jednocześnie przepraszamy tych Szanownych Czytelników, których nadesłanych notatek o ślubach, zebraniach i t. d. nie zamieściliśmy, jakoteż tych Szanownych Czytelników, którzy nas prosili w jakiebądź informacye, iż ich życzeniu nie mogliśmy zadość uczynić z wyżej podanego powodu.

Już po wydrukowaniu powyższej notatki i wydaniu dyspozycyi co do treści niniejszego numeru, którego druk przyśpieszyć musieliśmy z powodu przypadającego w dniu 18-ym b. m. święta katolickiego Matki Bozkiej, oraz święta ewangielickiego t. zw. „Dnia modlitwy i pokuty“, w którym to dniu wszelka praca zawieszoną być musi „vom Amtswegen“, oddano nam z rozporządzenia sędziego śledczego wszelkie w dniu 10-ym b. m. zabrane papiery, a między niemi także bardzo ważny **„corpus delicti“**, *t. j. rękopis powieści „Śpiewaczka ludowa.“ Z pewnością piękne Czytelniczki ucieszą się niezmiernie, że „Śpiewaczka ludowa“ tak szybko opuściła „kozę“, a „Żelazny kanclerz“ spuści nos na kwintę, żeśmy w artykule o nim traktującym nie zbuntowali się przeciw hakatystom!*

— **Pan Marcin Biedermann**, wydawca „Pracy“, przez dwa dni trzymany w więzieniu śledczem w sprawie redakcyjnej, wypuszczony został na wolność dnia 14-go b. m. rano za kaucyą.

— **Szanownym Czytelnikom** zwracamy uwagę na to, iż dział illustrowany następnego numeru „Pracy“ poświęcimy z powodu przypadającej obecnie trzechsetnej rocznicy urodzin obrońcy Częstochowy O. Augustyna Kordeckiego, pamięci tegoż wielkiego kapłana i męża. W numerze tym podamy reprodukcyą kopii cudownego obrazu N. M. Panny na Jasnej Górze, oraz cały szereg związanych z pamięcią ks. Kordeckiego illustracyi a mianowicie: pomniki Kordeckiego w Częstochowie i w kościele św. Krzyża w Łodzi, portret ks. Kordeckiego, widok klasztoru na Jasnej Górze i t. d. z stósownym tekstem.

— **Pan Ogiński**, dentysta, mieszka teraz przy ulicy Berlińskiej nr. 16, I piętro naprzeciw ulicy Bismarcka. Pan Ogiński znany jest Szanownej Publiczności jako biegły, zręczny, rzetelny i sumienny dentysta, który wszelkie prace wykonuje według najnowszych ulepszeń jak najdokładniej i trwale.

— **Zwracamy uwagę** Szanownym Czytelnikom na ogłoszenie *Nowego browaru grodziskiego*, donoszące o zaangażowaniu najdoskonalszego piwowara.

— **Komisya kolonizacyjna** sprowadza do Księztwa Poznańskiego Niemców ewangelików z Galicyi. Z tego powodu odbyło się w ewangelickiej szkole lwowskiej zebranie pod przewodnictwem superintendenta Fritschego, w którem brało udział 19 pastorów, 35 nauczycieli i 94 innych reprezentantów gmin ewangelickich. Uchwalono sprzeciwiać się emigracyi Niemców ewangelików z Galicyi do Księztwa Poznańskiego i wybrano komitet, mający radzić nad tą sprawą.

— **Z nad Prosny.** Dnia 28-go z. m. pobłogosławił ks. proboszcz Maj z Turska w asystencyi ks. Kozłowicza z Jedlca w kościele Jedleckim związek małżeński pomiędzy p. Stanisławem Madajem, kupcem z Buku, a panną Bronisławą Weberówną córką nauczyciela głównego z Jedlca. Do młodej pary przemówił ks. proboszcz gorącemi słowy, życząc jej szczęścia w wspólnem pożyciu. Telegramów oraz listów kościuszkowskich nadeszło około 80.

Młodej parze: Szczęść Boże!

— **Lubcz pod Rogoznem.** Na odbudowanie spalonego kościoła w Lubczu złożyli w dalszym ciągu:

X. prob. U. z K. 100 m. X. dziekan Fligierski z Buku z parafianami 132 m. X. prob. Greinert z Gębic 20 m. X. prob. Niedbalski z Gąsawy z parafianami 93 m. 22 fen. X. prob. Mierzejewski z Niechanowa z parafianami 42 m. X. prob. Dr. Wilkoński z Grodziska z paraf. 50 m. X. prob. Schwartz z Strzyżewa z paraf. 97 m. 75 fen. „Dziennik poznański“ 7 m. Drukarnia i księgarnia św. Wojciecha 16 m. 80 fen. Hr. Żółtowski z Nekli 100 m. M. hr. Kwilecki z Oporowa 20 m. P. Chłapowski z Czerwonejwsi 10 m. X. administrator Hundt z Miłosławia z paraf. 80 m. X. prob. Schubert z Dembnicy z par. 70 m. 80 fen. X. prob. Jaśkowski z Dziekanowic z par. 231 m. 20 fen.

Składając serdeczne „Bóg zapłać!“, proszę uprzejmie o dalsze łaskawe ofiary.

X. Czerwiński

— **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu:

Pp. S. G. z Wronek 3 m. P. Wieczorkiewicz z Strzelna 5 m. A. Napieralski z Nakła 1 m. 50 fen. M. Szymańska z Jeżyc i A. Trząsalska z Żnina po 1 m. J. G. z Jaroszewa 30 m. N. N. z Gorzyc 2 m. W. Janicki z Nakła, Arendt z Dąbrówki p. Grudziądz, N. N. z Inowrocławia po 1 m. 50 fen. J. Szuflada z Chicago w Półn. Ameryce 11 m. K. Przybylska z Jaroszewa i M. Ludwiczak z Opok po 3 m. L. Pietruszyński i F. Prochowska z Poznania, po 1 m. Łukomski nadleśniczy z Kąpia i F. Szymczak z Inowrocławia po 3 m. Podlaszewski z Opok 5 m. Wygrana w preferansa 3 m. 50 fen. Zebrane przez p. P. Wendego z Krzyżownik p. Poznaniem 29 m. 40 fen., a mianowicie: Czajka, Frąckowiak, Haina, Pawlak, Kozłowski, Brózda, Czarnecki, Engel, Szczepaniak, J. Pawlak, Laskowski, Przybylak po 10 fen., Springer, Rączkowska, Lewandowski, Skowrońska, Kubiak, Dolski po 20 fen., Tomidaj, Skóra po 25 fen., Wlazlak 30 fen., Marciniak 40 fen., W. Kubiak, Czarnecki, Tórz po 50 fen., M. Czarnecki, Pawelczyk po 5 fen., M. Bączkowski 15 fen., Konieczny 5 m. — wszyscy z Sedanu. Ruszkiewicz 1 m. 50 fen. Forysiak 1 m. Koszyk i Klimecki po 50 fen. — wszyscy z Przemierowa; Mączyński, Pielucha po 3 m. Weidner, Szóżak, Springer, Kędziera, Ratajczak po 1 m. P. Wende 2 m. Białas, Gazecki, Dubisz, Pietruszyński po 50 fen., Łakomy 20 fen., Paczkowski 10 fen., Starszewska 25 fen — wszyscy z Krzyżownik.

Wszystkim ofiarodawcom składam staropolskie „Bóg zapłać!“ i proszę o dalsze składki.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† Ś. p. *Mieczysław Morawski*, uczeń gimnazyum gnieźnieńskiego, dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 19-ej wiośnie życia.

† Ś. p. *Henryk Unrug*, dziedzic Sielca, dnia 13-go b. m. w Sielcu.

† Ś. p. *Izabela Niegolewska*, dnia 12-go b. m. w Niegolewie. Zwłoki złożono do grobu rodzinnego w Buku dnia 14-go b. m.

† Ś. p. *Michalina Miśkiewicz* dnia 13-go b. m. w Trzemesznie.

Ś. p. *Stanisława z Fromholców Domagalska* dnia 13-go b. m. w Poznaniu — na Wildzie.

† Ś. p. *Franciszek Wiśniewski*, wierny Czytelnik i zwolennik „Pracy“, dnia 13-go b. m. w Mogilnie.

† Ś. p. *Leontyna Bułkowska*, dnia 15-go b. m. w Poznaniu, w 83-cim roku życia.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Kamieniec.** Nadzwyczajne walne zebranie Tow. Org. pod opieką św. Wojciecha w Stęszewie odbyło się 9-go b. m. u p. Węclewicza w Grodzisku.

Po odśpiewaniu Veni Creator zagaił posiedzenie p. Boruczkowski, poczem poprosił p. Skrzypczaka, aby przewodniczył zebraniu. Protokół prowadził p. Nowak, następnie miał odczyt przewodniczący z rocznika org. 1900 r., nad którym wywiązała się ożywiona dyskusya. Nastąpił obór zarządu; jednogłośnie obrano prezesem p. J. Boruczkowskiego z Kamieńca, zastępcą p. W. Nowakowskiego z Wielichowa, sekretarzem p. J. Zaporowskiego z Bu-

kuwca i skarbnikiem p. U. Wolnowskiego z Gościeszyna. Wybór do komisyi rewizyjnej padł na pp. Nowaka z Daków mokrych i Owoca z Gnina. Następnie wybrano delegatów na walne zebranie Związku i to pp. Boruczkowskiego z Kamieńca i Nowaka z Daków mokrych a zastępców pp. Pawlika z Michorzewa i Andrzejewskiego z Granowa.

Przy wnioskach radził p. Poruczkowski, aby się porozumieć z dobrym i doświadczonym muzykiem, który by się podjął za zapłatą przyjeżdżać do Grodziska kilka razy w kwartale, celem udzielania członkom Tow. gruntownej teoryi muzycznej. Wniosek ten przyjęto.

Przyszłe zebranie odbędzie się około połowy stycznia r. p. w Grodzisku. Na członków przyjęto pp. M. Nowaka z Daków mokrych i Nowakowskiego z Wielichowa, Pawlika z Michorzewa i Owoca z Gnina. Odśpiewaniem pieśni „Bogo Rodzico“ zakończono zebranie.

Zarząd.

— **Blumenthal** w Hanowerskiem, d. 2 list. 1903. *Sprawozdanie półroczne z czynności Towarzystwa Polsko-katolickiego śpiewu „Wesołość“ w Blumenthalu* za czas od 5 kwietnia r. z. do 18 października r. b W ubiegłem półroczu odbyło Tow. 5 zwyczajnych posiedzeń i jedno nadzwyczajne czyli walne zebranie pod przewodnictwem p. Franciszka Małuszka. Na posiedzeniach załatwiano sprawy, tyczące się Tow., mianowicie ściągano składki miesięczne i czytano ewangelią św., przypadającą na tę niedzielę, w którą się posiedzenie odbywało. Towarzystwo urządziło w tym czasie 2 zabawy, połączone z teatrem amatorskim i jednę zabawę latową czyli majówkę. Towarzystwo abonuje „Pracę“ i „Wiarusa Polskiego“, posiada także własną bibliotekę, która się składa z 81 książek. Towarzystwo założyło kasę chorych dla swych członków. Tow. śpiewu — chór męzki i chór mięszany — składa się z członków czynnych i nieczynnych. W ubiegłem półroczu miało Tow. rozchodu 116 m. 55 fen., pozostaje w kasie 156 m. 03 fen. czystego dochodu.

Zarząd stanowią nowo wybrani panowie: Leon Szwałkiewicz prezes, Stanisław Górny, zastępca. Roch Zimorski kasyer, Piotr Laudowicz zast. Stanisław Sprutta, sekretarz, Stanisław Hęciak, zastępca. Walenty Grobarek, bibliotekarz, Karól Piosek zastępca. Rewizorzy kasy: pp. Stanisław i Marcel Kwintkiewicz. Dyregent śpiewu p. Stanisław Karwacki, zastępca tegoż p. Stanisław Przymuszyński.
Towarzystwo liczy obecnie członków 53, trzech wyjechało dla zmiany pracy, 2 zaciągnięto do wojska.

Leon Szwałkiewicz, prezes. Stanisław Sprutta, sekretarz.

Od Redakcyi.

Panu A. S. w Skurczu Prusy Zachodnie. — O ile nasze sięgają informacye, trudni się takiem wydawnictwem księgarnia I. Leitgebra w Poznaniu.

Panu W. R. w K. — 1) Tak, 2) Nie, bo pachnie „kozą!“

Panu C. S. w W. — Nie nadaje się do „Pracy.“

Panu Domicyanowi S. w K. — Zwróć się Pan do firmy „Antoni Rose“ w Poznaniu w Bazarze.

HUMORYSTYKA.

Z mojej teki.

(Krakowiak „mieszkaniowy“).

O hygienie mieszkań
Pisano już wiele —
Mimo to słóweczko
Wtrącić się ośmielę.
I dla dobra sprawy
Wraz z naszą wybranką —
Odwiedzę przeciętne
Poznańskie mieszkanko.
Lokal — trzy pokoje
I wszelkie *wygody*...
(Masz najlepszy dowód
Wstąpiwszy na schody —
Bo ledwie po „równi
Pochyłej“ krok stawisz
Za chustkę do nosa —
Losy błogosławisz!)
Zachęcony wielce
Wstępujesz do środka,
O ile pozwala
Do zmiatania... szczotka,
Która w przedpokoju
Mając główne leże,
Połowę przestrzeni
We władanie bierze.
Na pierwszy rzut oka,
Widzisz po rozkładzie:
Że trzy pokoiki
Wszystkie w *anfiladzie!*
A i to dostrzegasz
Na niemałą radość,
Że co krok hygienie
Stało się tu zadość!
Pokoik *jadalny,*
Tuż za przedpokojem —
Cztery łokcie liczy
Najdłuższym przekrojem;
Ma okienko jedno,
Z widokiem na *zlewy*
Przy lufciku rurę,
Z miłemi wyziewy!
Za to drzwi — co ściana!
Do kuchni! do spalni!
Ztąd braku powietrza
Nie uczuć w jadalni...
Za jadalną salą —
Przestąpiwszy progi —
Nyża, gdzie rodzina
W sen opływa błogi!
Tu śpią: mama, tata
I maleństwa śliczne...
Każdy ma przestrzeni
Trzy stopy kubiczne!
A choć w takiem gnieździe
Ruchy skrępowane —
Za to *naturalnem*
Ciepłem ogrzewane!
Inny nieco wygląd
Ma obok — *salonik!*
Jakby bombonierka!
Jak cacko! flakonik!
Obicia bez skazy —
Podłogi wzorzyste!
Trzy okna rzucają
Swiatło promieniste!
Bo się tu nie sypia
I państwo nie jedzą,
Tylko... na wizycie
Czasem goście siedzą!
Dla dobra hygieny,
Kompletując opis —
Kuchenny na końcu
Nakreślę rysopis:
Pod względem przestrzeni —
Z przedpokojem parka!
Ledwie jeden strażak
Wejdzie i kucharka!
Za to każden kącik
Biegle wyzyskany:
Tu łóżko — stolnica —
Tam szaflik blaszany!
Rondle (co niewidzą
Nigdy pobielania)
Spoczywają w wnętrzu
Balijki do... prania!
Na kominku — ścierki
Wiszą jak sztandary
Susząc się od potraw
Kłębującej — pary!
Słowem — że mieszkanko,
Zaręczam honorem
Na punkcie hygieny
Może zostać wzorem!!

El.

O 3-ej w nocy.

— Din, din, din!...
— Kto tam?
— Panie aptekarz! Niech pan otworzy...
— Zaraz...
— Jeno migiem, bo pilno!
— Zaraz!...
— Niech się pan pośpieszy!
— Zaraz!... Czego chcesz?
— Przyszedłem po lekarstwo...
— Więc czego chcesz?
— Za 10 fenygów rycynusu...
— A niech cię dyabli!... Po taką bagatelę w nocy przychodzisz, sam nie śpisz i drugich budzisz! Nie mógłbyś po to rano przyjść?
— A prawda! Ma pan recht! To już kiedy tak, to ja przyjdę rano, bo nawet co prawda, to zapomniałem pieniędzy!...

Na dworcu.

— Czy pan nie może mi powiedzieć, o której godzinie dochodzi pociąg do Pleszewa?
— Nie wiem, proszę pana, ale na dworcu w Pleszewie wisi zegar, jak pan dojedzie, to pan zobaczy...

Dział kobiecy.



Woń kwiatów i śpiew.

Nie wszystkim wiadomo, że zapach róż, fiołków, konwalii, narcyzów i innego wonnego kwiecia wywiera bardzo szkodliwy wpływ na głos ludzki. Spiewaczka nie będzie nigdy dobrze usposobiona, jeśli ma wieczorem śpiewćć w sali, której atmosfera przesycona jest silnym zapachem, pochodzącym w większej części ze świeżych kwiatów.

Głośna śpiewaczka, Marya Sasse, otrzymała pewnego razu, przy wejściu do jednego z arystokratycznych salonów Paryża, gdzie miała śpiewać, wielki bukiet fiołków parmeńskich, skropionych jeszcze w dodatku silnemi perfumami fiołkowemi. Artystka z upodobaniem wdychała tę ulubioną woń swoją, a w pół godziny później przekonała się z przerażeniem, że nie jest w stanie wydobyć jednego czystego wdzięku. Krystyna Nilson opowiada o tenorze, który w pokoju, przepełnionym wonią róż, z trudnością odśpiewał małą aryę, poczem dostał tak gwałtownego bólu gardła, że musiał się udać do lekarza i przez cały miesiąc żył w trwodze mniemając, iż utracił głos na zawsze. Od owego czasu Krystyna Nilson wyrugowała wszystkie pachnące kwiaty ze swego mieszkania.

Pani Calve, oraz inna, mniej sławna śpiewaczka francuska, są przekonania, że biały bez jest wręcz niebezpieczny dla głosu. Basista Delmas radzi kolegom swoim, aby nie śpiewali nigdy w salonie, gdzie tuberozy, hyacenty, lub fiołki rozsiewają odurzającą woń swoją. Samo oddychanie w takim pokoju jest szkodliwe dla głosu, o ile nie trzyma się tuż pod nosem „chustki" oblanej wodą kolońską, która, zdaniem Delmas'a, ma być środkiem przeciwdziałającym. Nauczycielka śpiewu, pani Renée Richard, potwierdza, że u uczennic swoich zauważyła zawsze znaczny ubytek siły i dźwięku głosu, ilekroć miały przy staniku róże, konwalje, lub fiołki. Profesor Segny oświadcza, że panie przebywające ciągle w otoczeniu pachnących kwiatów i wąchające je często, nietylko gdy śpiewają, ale nawet gdy mówią, mają lekką chrypkę. Ludzie nerwowi, sangwiniczni, wrażliwsi są na szkodliwy wpływ woni kwiatów od ludzi z nerwami silnymi i temperamentem flegmatycznym. Śpiewak Faure który pisał o hygienie śpiewu, nazywa fiołki najgorszymi wrogami artysty lirycznego, gdyż woń ich jest równie szkodliwa jak tytoń i alkohol.

Do tych spostrzeżeń możemy dodać, że i Edward Reszke, z tych samych powodów usuwa z pokoju swego kwiaty pachnące, zwłaszcza w dniu, w którym ma spiewać.

Ankieta w sprawie mody.

Pismo modom poświęcone, wychodzące w Paryżu a noszące nazwę „Femina", rozesłało ankietę do artystów i literatów w sprawie obecnych mód niewieścich, zwłaszcza zaś w kwestyi przywrócenia krynoliny. Z naesłanych odpowiedzi okazuje się, że Paweł Bourget i Gervieu nie są przeciwnikami krynoliny, bo „nie wiedzą, dla czegoby kobieta i w krynolinie nie miała być podobnie jak dawniej, urocza''. Paweł Adam nazywa krynolinę ohydą i chciałby, żeby parlament pod karą śmierci zabronił jej wyrobu i noszenia. Hr. Robert de Montesquiou jest zdania, że obecny krój sukien i ich garnirowanie sprawia, że kobiety są podobne do parasolek bez prętów. Prevost traktuje sprawę bardzo poważnie i poleca tylko niektóre drobne zmiany w stroju kobiecym. Paweł i Wiktor Margueritteowie są przekonani, że dobry smak pań powróci do tego ,co jest piękne. Abel Hermant zaś zapewnia, że wdzięk kobiecy polega na jej zaletach osobistych, nie zaś na jej stroju.

Gęś ś-go Marcina.

Zwyczaj jadania gęsi w dniu Ś-go Marcina, tj. 11-go listopada, jest bardzo rozpowszechniony i stary. Święty ten żył w r. 316, w starej Sabaryi, za panowania cezarów Konstantyna i Juliusza, a był rodem z Węgier. Służąc w wojsku rzymskiem doczekał się wysokich odznaczeń, ale porzucił dostojeństwa, powędrował do Galii, przyjął chrześciaństwo, przywdział szaty kapłańskie i w r. 375 podniesiony został do godności biskupa w Tours. Na wieść o tym zaszczycie, uważając się za niegodnego piastowania takiego dostojeństwa, schronił się przed zwiastunami nowiny do komórki dla gęsi przeznaczonej; gęsi wszakże ujrzawszy go podniosły wrzask piekielny, czem zdradziły obecność Świętego. Na pamiątkę tego to epizodu ustalił się, trwający dotychczas zwyczaj jadania gęsi w dniu Ś-go Marcina.

Według innego podania starzy Germanowie zwykli byli na jesień, po skończeniu żniw, składać Wotanowi ofiary z żywych stworzeń, a między innemi z gęsi. Po wprowadzeniu chrześciaństwa nie przeszkadzano ludowi w odprawianiu tego pogańskiego obrządku, a z czasem gęsi zastąpiły inne stworzenia. W Czechach panuje zwyczaj jadania gęsi na Ś-go Marcina w samo południe; gospodarz domu po wsiach dzieli ją między służbę w ten sposób, że parobkom i dziewczętom daje udka, aby szybciej biegali, zaś chłopcom stajennym skrzydła, aby prędzej jeździli; dla siebie i rodziny zachowuje piersi. W niektórych miejscowościach Niemiec jadają gęsi na Ś-go Marcina, w innych znów gęś Ś-go Marcina nazywana jest „gęsią świetlaną,'' albowiem od Ś-go Marcina, rzemieślnicy zaczynają pracować przy świetle; majstrowa zaprasza zwykle czeladników na biesiadę i podaje gęś w otoczeniu świeczek.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

O rzemieślnikach i dla rzemieślników.

W „*Gazecie rzemieślniczej*" wychodzącej w Warszawie, p. J. Rzętkowski drukuje bardzo trafne uwagi o rzemieślnikach i dla rzemieślników.

„O całych masach rzemieślniczych w kraju powiedzieć tylko można: gwałtownie potrzebują nauki, zarówno początkowej ogólnej, jak i specjalnej fachowej. Gwałtownie potrzeba im dobrych szkół, tak ogólnych jak i fachowych — bo inaczej marzyć nawet nie podobna o konkurencji z zalewającemi kraj wyrobami zagranicznemi.

Siły i zręczność posiadamy, lecz mało z nich pożytku, jeżeli wiedza niemi nie pokieruje.

Tę wiedzę z całą skrzętnością krzewią wśród swoich rzemieślników nasi „najserdeczniejsi" — i dla tego nietylko zalewają ich wyrobami nasze rynki — ale podgryzają już nieźle przemysł angielski i francuski.

Oni uczą się i myślą — więc pracują lżej, niż my, chociaż szybciej i taniej. Oni mają związki i stowarzyszenia ku wzajemnej pomocy — przymusową naukę elementarną, szkoły fachowe, kursa uzupełniające, muzea, naukę rysunku i mnóstwo wzorów. Posiadają tani kredyt i obfitość podręczników, pism fachowych i wskazówek, gdzie co kupić, a gdzie co sprzedać.

My posiadamy siłę, zręczność i zdolność; my najchętniej chodzimy na pojedynka, każdy swoim dworem i swojemi drogami, konkurując ze współzawodnikami; zrzeszenia nie popieramy, nie ufamy jeden drugiemu, a choć w chwili podniecenia czyjąś wymową obiecujemy chętnie wiele rzeczy pięknych — to od obietnic wszakże do ich spełnienia ogromnie daleko! Szkół potrzebnych nie posiadamy, ale nie szczędzimy łaskawego ucha ani zaufania zręcznym szalbierzom, którzy pragną nas wyzyskać, dmuchając w dudkę naszej próżności. Posiadamy też obfitość lichwiarzów, faktorów i przeróżnych doradców, a sekretów fachowych zazdrośnie pilnujemy, w obawie, aby czasem nie skorzystali z nich współtowarzysze pracy....

Gdy rozważymy, co posiadają oni, a co my posiadamy, wówczas ze smutkiem wyznać należy, że chociaż oni ogromnie nas wyprzedzili — przecież my musimy zacząć niemal od początku.

Zacząć?!... Tak, zacząć, mówiąc ogólnie. Lecz nie powinno to nas zrażać. Wyjątki śród nas zaczęły i daleko już posunęły się naprzód — mamy więc na kim oprzeć się w początkach. Mamy siły, zręczność i zdolność... Więc o własnych siłach powinniśmy rozwinąć zdolności — własnemi zabiegami, stopniowo, skrzętnie zdobywać to wszystko, co nasi sąsiedzi już posiedli. A przedewszystkiem — niezbędną wiedzę fachową."

Przemysł zegarmistrzowski w Szwajcaryi.

Jak dalece może podnieść się dobrobyt, przy wytrwałej zapobiegliwej pracy ludności na polu przemysłowem, tego przykładem jest Szwajcarya. Wywóz jej przedstawia cyfrę 650 franków rocznie na jednego mieszkańca.

Jestto cyfra wprost zdumiewająca, gdy zważymy do tego, iż ten kraj alpejski, pozbawiony węgla i żelaza, znajduje się w środku kontynentu, daleko od wszystkich mórz.

Do tej wysokiej cyfry wywozu, przyczynia się w znacznej mierze przemysł „zegarków kieszonkowych."

Journal suisse d'horlogerie przynosi zajmujące zestawienie rozwoju tej gałęzi, które uwidacznia, iż mimo konkurencyi amerykańskiej, szwajcarskie zegarki są poszukiwane na całym świecie.

Roczny wywóz wynosi zwyż sześć milionów sztuk o przeciętnej wartości jednej sztuki 16 franków. Koszt zegarka zależy od materyału, przeciętna cena złotych jest 50 fr., srebrnych 12.25 fr., z innych metali 8.46 franków. Ceny te z rozwojem maszynowych narzędzi pomocniczych obniżają się nieustannie.

Ciekawe są szczegóły wywozu, ile zegarków szwajcarskich przypada na poszczególne kraje.

Oto jeden zegarek szwajcarski wypada:

w Anglii	na 30	mieszkańców
w Niemczech	na 31	„
w Skandynawii	na 54	„
w Austryi	na 75	„
w Francyi	na 146	„
w Egipcie	na 300	„
w Stanach Zjedn.	na 354	„

(Przeciętne cyfry z ostatnich 5 lat).

Przyjmując użyteczność zegarka na lat 20, okazuje się z obliczeń, iż zegarek w kieszonce ma jedna osoba:

w Anglii i Niemczech	na 3	mieszk.
w Austryi	na 5—6	„
w Włoszech	na 7	„
w Hiszpanii	na 15	„

Cyfry te są pewną miarą i kultury.

Rozmaitości.

Koszt zatrzymania wozu elektrycznego.

Wiadomo, że zatrzymanie zwykłego wozu, pociąga za sobą nie tylko stratę na sile żywej, która go porusza, ale nadto zużycie i uszkodzenie wynikające z wysiłków przyrządów hamulcowych.

Inż. Western obliczył, że zatrzymanie wozu elektrycznego przez minutę pochłania ilość energii zdolną popchnąć go o 100 mtr. (właściwie przypada 1600 mtr. na 14 zatrzymań). W innym wypadku autor obliczył, iż przystanki pochłaniają 27% całkowitej energii. Jeden pasażer, zatrzymujący wagon (6 tonn), żeby wsiąść lub wysiąść, powoduje stratę energii, dostatecznej dla przewiezienia jego osoby o 18 klm.

Nowy pomysł budowy ulic.

Londyński „Times" podał ciekawy sposób dotyczący budowy ulic. Wyobraźmy sobie zwykłą ulicę dla jezdnych, ośm stóp szeroką i otoczoną z obu stron chodnikami dla pieszych.

Z chodników prowadzą jak zwykle wejścia do domów i składów w parterze, atoli chodniki te są kryte dachem, który jest także chodnikiem na wysokości pierwszego piętra. Ten ostatni ma 15 stóp szerokości i jest zabezpieczony od środka ulicy poręczami a wygodne schody umieszczone w odpowiednich odstępach, służą do komunikacyi z parterem. Znajdujące się na pierwszem piętrze składy można w ten sposób odwiedzać wprost z ulicy.

Środkowa część ulicy, nie jest pokryta dachem, za to chodniki spoczywają na słupach i wmurowane w ściany domów, chronią je od wilgoci, a w czasie słoty są wygodnem miejscem dla przechadzki.

Dział powieściowy.

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

22)

(Ciąg dalszy.)

I podczas kiedyBondi jadł, przypomniał sobie Horn owe czasy, kiedy to obydwaj byli razem w Wiedniu i oddawali się życiu, wcale nie przykładnemu.

Byli oni na uniwersytecie — tam się poznali, ale zamiast uczyć się i pracować, przepędzali całe dnie w kawiarniach i cukierniach, pijąc i bijąc się, gdy była ku temu sposobność. Największą ich troską był wieczny brak pieniędzy, bo żaden z nich nie miał majątku.

Bondi, znacznie młodszy niż Horn, nie dostawał wówczas już nic od wuja, Horn zaś, syn ubogich wieśniaków, nie miał żadnych funduszy. Miał on pierwotnie zostać księdzem, było to najgorętszem pragnieniem jego starych rodziców, odmawiali sobie więc wszystkiego, aby tylko kształcić syna i wykierować go na księdza.

Ale on nie myślał o nauce. Zaprzyjaźniał się z kolegami równego usposobienia, grał i pił z nimi, i miał wkrótce renomę największego zawadyjaki. Najszczerszym jego przyjacielem stał się Bondi, bardzo do niego pod względem charakteru i usposobienia podobny.

Czego jeden nie znał, tego się od drugiego nauczył, a nie było to nic dobrego, tylko wszystko złe i najgorsze, jakie sobie wyobrazić można. Obydwaj robili długi, oszukiwali innych, fałszowali podpisy i płatali spokojnym mieszczanom najrozmaitsze figle, nieraz bardzo dla mieszczan bolesne i przykre.

Żyli oni jakby w jakimś szale niegodziwości, gdy się rano obudzili, nie myśleli o niczem innem, jak o tem, w jaki sposób się przez cały dzień zabawić i jak dojść do pieniędzy, na oszukaństwie.

Pożyczali od kogo się tylko dało i potem wyśmiali łatwowiernych wierzycieli, a kto do nich po pieniądze przyszedł, tego zrzucali poprostu ze schodów. W końcu zaczęli okradać kolegów.

Horn został natychmiast wypędzonym z uniwersytetu, a nie chcąc umierać z głodu, musiał pracować na życie. Przyjął więc miejsce pisarza u jakiegoś bogatego, starego pana i umiał sobie odrazu zaskarbić jego łaski.

Ale to długo nie trwało.

Pewnego dnia widząc, że pan jego kładzie do szkatułki trzy tysiące guldenów, skorzystał z jego nieobecności, porwał owe pieniądze i uciekł z niemi. Udał się naturalnie zaraz do swego przyjaciela Bondi, pokazał mu z tryumfem swoją zdobycz i pojechał z nim do Włoch, gdzie się doskonale obydwaj zabawili, za ukradzione pieniądze.

Jednak i te trzy tysiące wnet się skończyły, a Włoszki były tak piękne i tak im się podobały, że nie mogli się zdecydować na powrot do Wiednia. Udali się więc do Rzymu i tutaj skończyło się ich powodzenie w sposób bardzo dla nich nieprzyjemny.

Aby dostać się znowu w posiadanie pieniędzy, postanowili zabrać pokryjomu jeden z najkosztowniejszych obrazów z muzeum i za to powiesić tam lichą kopią, którą Bondi, znający się trochę na malarstwie, poprzednio już przygotował. Ale w chwili, w której chcieli kradzież wykonać, odkryto ich i odprowadzono natychmiast do więzienia. Byliby tam zapewne długo pozostali, gdyby nie byli zdołali ratować się ucieczką. Przepiłowali oni kratę żelazną u okna, wskoczyli w rzekę — więzienie bowiem leżało nad Tybrem, i dopłynęli szczęśliwie do brzegu.

Potem rozłączyli się i nie spotkali się już wcale.

Dopiero dziś ujrzeli się znowu i liczne wspomnienia nasuwały im się na myśl. Horn dla samej już przeszłości musiał barona przyjąć uprzejmie, bo wszakże znali oni nawzajem swoje tajemnice.

Nareszcie skończył Bondi kolacją.

Horn podał mu najlepsze jakie miał cygara i nalał mu znowu kieliszek wina.

— Pod wozem i na wozie ,to najlepsze określenie mego życia — rzekł nagle Bondi. — Czy uwierzyłbyś mi, że niedawno jeszcze byłem ulubieńcem Wielkiego Księcia Konstantyna i że miałem najpewniejsze widoki na jedno z najważniejszych w kraju stanowisk? Ale ktoś mnie oczernił, obgadał — ten przeklęty żyd Lebel, o którym dosyć pewnie słyszałeś. Korzystał on z mojej nieobecności i zabrał moje miejsce, a gdy wróciłem do Warszawy, zastałem u księcia zamknięte drzwi!

— A co cię sprowadziło w naszą okolicę? — zapytał Horn.

— Zemsta.

— Zemsta? Słuchajno, jest to przewodniczka, której bezwarunkowo ufać nie można, bo ona niejednego już zawiodła na złą drogę. Niebezpieczna to rzecz! Na kim chcesz się pomścić?

— Na moim wuju!

— Kto to jest?

— Nie wiesz tego? Hrabia Dernburg.

— Co u licha! Ten sam Dernburg, o którym mi w Wiedniu tyle opowiadałeś? Że taki skąpiec, nie dający ci ani grosza na przyzwoite utrzymanie? Ja go nienawidzę, bo to najdumniejszy człowiek w całej Galicyi!

Bondi rozśmiał się głośno.

— Wierzę bardzo, — rzekł, — że on z tobą przyjaźni zawrzeć nie chce! On się zna na ludziach, i wie, że ty ideałem nie jesteś!

— Nic mi na tem nie zależy! Ale powiedz mi, co on ci zawinił, że chcesz się na nim pomścić?

— Mam do załatwienia z nim rachunek! On zmarnował moje życie, nie dając dosyć pieniędzy na ukończenie studjów, i tym sposobem popchnął mnie na drogę występku.

Mąż jej nic pewnie o tem nie wie?

— To jest twoje zdanie, — rozśmiał się Horn, — trzeba mieć zawsze coś na własne uniewinnienie, jeżeli się chce popełnić coś złego. Ale wobec mnie nie potrzebujesz odgrywać komedyi.

— Masz słuszność, mam inne powody do pomszczenia się na Dernburgu, ale nie powiem ci jakie. To tylko jest pewne, że dzisiejszej nocy skwituję się z nim — zadam mu ranę, która nie prędko się zagoi.

— Czemu przyszedłeś właśnie do mnie?

— Do ciebie właściwie nie przyszedłem, — odrzekł Bondi, — tylko obrałem sobie ten zamek na miejsce mej czynności!

— Co ty chcesz w tym zamku robić? — zawołał Horn zdumiony.

— Nic, mam tu schadzkę dzisiejszej nocy!

— Ty — tutaj? Człowieku, czyś ty oszalał? Dysponujesz zamkiem tak, jak gdybyś był jego właścicielem. Nie mówisz mi ani słowa.....

— Wiem przecież, że jesteś moim przyjacielem i że nie przeszkodzisz mi w schadzce z piękną kobietą!

Horn rozśmiał się głośno.

— A kto jest ową piękną kobietą? — zawołał żywo.

— Wolno ci pytać i ja też prawdę ci powiem. Tą piękną damą jest — Fedora, żona mego wuja.

Leśniczy z niedowierzaniem spojrzał na barona.

— Żona twego wuja, — rzekł, — to być nie może! O ile wiem, ożenił się hrabia Dernburg przed czterema tygodniami, żona jego ma być bardzo piękną, ale zarazem dumną i nieprzystępną!

— Może być, a pomimo to przyjdzie ona tu dziś xj i będzie się ze mną widzieć w cztery oczy.....

— *Powiedz mi, jakiego użyłeś sposobu, aby zniewolić dumną hrabinę Dernburg do przyjścia do tego zamku?*

— Mąż jej nic pewnie o tem nie wie.

— Ona mężowi nic nie powie! A jakiego użyłem sposobu? Tego, który zawsze pociąga, — tajemnicy!

— Ah, to ty znasz jaką tajemnicę hrabiny Dernburg?

— Tak i w dodatku bardzo ważną, która może zniweczyć całe jej życie. Takie tajemnice są nietylko nożem ale i magnesem, pociągającym ku nam tych, których mieć pragniemy. Mój magnes okazał się równie skutecznym, hrabina nie może mu się oprzeć i przyjdzie!

— Byleby nie powstały z tego jakie nieprzyjemności dla nas!

— Bynajmniej, magnes ten zamieni się w naszych rękach w złoto!

Oczy Horna zabłysły chciwością.

— Myślisz więc, — rzekł cicho, — że możemy coś na tem zarobić?

— Więcej, niż myślę, trzeba nam się tylko mądrze zabrać do dzieła — odparł Bondi, — i dla tego słuchaj, jaki ułożyłem plan.

— Dobrze, ale napij się najpierw wina. Smakuje ono ci?

— Wyborne!

Bondi pił, zapalił nowe cygaro, i przysunąwszy krzesło do ławki Horna, zaczął cicho:

— Fedora, żona hrabiego Dernburga przyjdzie dziś w nocy do zamku, bo wezwałem ją tutaj! I powiedz mi teraz — nie ma tu jakiej kryjówki, w której by w danym razie można człowieka uwięzić, ale tak, aby go nikt nie znalazł, chociażby zamek ściśle przeszukiwał?

— Czy myślisz, że hrabia mógłby odgadnąć, że żona jego znajduje się tutaj?

— Wcale nie, ale ja jestem przy takich sprawach zawsze bardzo ostrożny. Kryjówka ta nie powinna albo wcale mieć okna, albo takie, z którego by nie można wyrzucać listów lub dawać znaków, i drzwi muszą być mocne, aby uwięziona nie mogła uciekać.

— Taki pokój znajduje się w zamku — rzekł leśniczy, — w wieży, ale....

— Jakie ale? Czy nie mógłbym tam uwięzić hrabiny Dernburg?

— Jaki cel ma mieć to uwięzienie? Wyjaśnij mi to najpierw!

— Rzecz bardzo prosta — hrabia ma trzydzieści miljonów — kocha szalenie swoją żonę, będzie w rozpaczy z powodu jej zniknięcia i ucieszy się niezmiernie, gdy odbierze od niej znak życia. Ten znak życia my mu damy w formie listu w którym mu doniesiemy, że żona jego jest uwięzioną, i że uwolnimy ją tylko za wypłatą miljona.

— I ty myślisz, że on da miljon?

— Nie wiem nawet, czy nie żądać dwóch miljonów,— odrzekł Bondi. — Oddałby on cały majątek, aby wydobyć Fedorę z rąk tego, którego nazwisko także w liście wymienionem będzie, a które w nim śmiertelne wzbudzi przerażenie.

— Czyje to nazwisko?

— Nie domyślasz się jeszcze o co chodzi? Dawniej miałeś bystrzejsze pojęcie, ale dziś widzę — że ci się rozum trochę przytępił. Hrabia ma sądzić, że żona jego wpadła w ręce dowódzcy opryszków tatrzańskich, owego tajemniczego człowieka z maską na twarzy, który od dawna znajduje się w tej okolicy, i który napada jeden dwór po drugim.

— Ah, teraz wiem już wszystko! Jest to rzeczywiście świetny plan! Możemy doskonale wyzyskać nazwisko tego rozbójnika.

— I miljon będzie nasz! — szepnął Bondi.

— Wypuścisz potem hrabinę?

— Naturalnie, zażądam, aby przyniesiono do lasu pieniądze, a gdy je otrzymam, wypuszczę natychmiast Fedorę, na wolność.

— Znasz rzeczywiście taką jej wielką tajemnicę?

— Może ona rozłączyć na zawsze hrabiego i jego żonę, widzisz więc, że jestem bardzo dobrym człowiekiem, który nie chce unieszczęśliwić kochanego wuja. Bo gdybym to chciał uczynić, to potrzebowałbym mu tylko powiedzieć o przeszłości jego żony to, co sam wiem!

— A co wiesz?

— Hm, hm, tego ci powiedzieć nie mogę! Tak daleko przyjaźń nasza nie sięga. Interes ten załatwimy wspólnie, i ja dam ci trzecią część zarobku za to, że oddajesz mi zamek do dyspozycyi, ale tajemnicy tej zdradzić nie mogę!

Leśniczy wzruszył ramionami, zdawało się, że trzecia część miljona wystarcza mu zupełnie i że reszty życzy szczerze swemu przyjacielowi.

— Pokaż mi teraz ten pokój w wieży — zawołał Bondi, — muszę się przekonać czy wszystko odpowiadać będzie moim wymaganiom. Bierz lampę i poświeć mi!

Leśniczy wstał wprawdzie ,ale twarz jego wyrażała wielkie zakłopotanie.

— No, i cóż ci to? — rozśmiał się Bondi — wypiłeś za wiele wina? Zbladłeś nagle i ręce ci drżą....

— Nie, nie, tylko — że — — ja do pokoju wieżowego nie pójdę. W nocy za nic w świecie....

Bondi z pogardą spojrzał na niego.

— Ah, boisz się pewnie duchów, — rzekł szyderczo, — doprawdy, ja cię nie poznaję! W Wiedniu siedziałeś raz całą noc na cmentarzu i wypiłeś cztery butelki wina na grobie starego lichwiarza, a tu — boisz się czegoś, co wcale nie istnieje? Co się z tobą stało? Dalej, bierz lampę i pójdź ze mną!

— Słuchaj — wyjąkał leśniczy, — ty nie wiesz — co tam — — to cała historja — —

— Więc daj mi jeszcze kieliszek wina i opowiedz tę historją, — zawołał Bondi, siadając znowu. — Lubię słuchać historji o duchach pokutnych. Dalej, zaczynaj!

Horn posunął sobie krzesło bliżej pieca, i zapalając cygaro, zaczął poważnie:

ROZDZIAŁ LIV.

Biała dama w zamku Łąka.

— Wiesz, że zamek ten należał dawniej do księcia Adama Starzyckiego?

— Wiem, dalej!

— Ale nie słyszałeś o tragedji, jaka się w rodzinie tej odegrała?

— Nie, jeżeli nie masz na myśli tego, że księciu zabrano cały majątek i wypędzono, i że tuła się obecnie po świecie, jako nędzarz i żebrak....

— Nie, ja myślę o tem, co się działo za życia jego dziadka!

— Nic o tem nie wiem!

— A więc słuchaj. Ów książę Starzycki, dziadek księcia Adama, zbudował zamek ten nie dla siebie, bo on byłby żył aż do końca życia w swoim starym pałacu w Łodzi, ani nie dla żony — bo tej byłby wolał wybudować grobowiec niż zamek, tak z nią żył nieszczęśliwie.

Był to człowiek, umiejący korzystać z przyjemności i rozkoszy tego świata, żona jego natomiast siedziała zawsze w domu, zajmując się gospodarstwem i wychowaniem dzieci.

On nudził się okropnie w jej towarzystwie i dla tego postanowił raz jechać do Paryża, na całą zimę, aby się tam zabawić.

Wówczas jeździli tam wszyscy — król Ludwik przyjmował uprzejmie każdego, kto się odznaczał majątkiem, pięknością lub rozumem i dowcipem. Że tam było wskutek tego wiele najrozmaitszych awanturników, to jest zupełnie naturalnem, bez nich świat nie mógłby istnieć — są oni niejako łącznikiem towarzystwa.

Księcia Janusza Starzyckiego przyjęto w Paryżu z otwartemi rękami. Dwór i towarzystwa w mieście wydzierały go sobie, ale on też zasługiwał na to. Mając wówczas mniej więcej lat czterdzieści, był niezwykle pięknym mężczyzną, a przytem wykształcony, bogaty — cóż dziwnego, że wszyscy przepadali się za nim!

Ledwie przybył do Paryża, a już wszędzie mówiono o nim, i niejedna dama wielkiego świata marzyła o zdobyciu sobie pięknego polskiego magnata!

Ale książę Janusz był wiernym niekochanej żonie.

Przybył on do Paryża z zamiarem widzenia i podziwiania wszystkiego, co piękne, postanowił jednak nie grać w karty i nie zbliżać się do kobiet.

Mieszkał on w bardzo wytwornym domu i wzbudzał ogólny podziw swemi końmi i powozami. Gdy się ukazał w teatrze lub na balu, bywał przedmiotem uwagi pań i panów, i w końcu stał się tak modnym, że panowie zaczęli nawet naśladować jego ubrania. Francuzi uwielbiali wszystko, co pochodziło z Polski.

Wiadomo ogólnie, jakim człowiekiem był król Ludwik XIV. w swojem życiu prywatnem. Był on rozpustnikiem w całem znaczeniu tego słowa, a jego „park Jeleni“ jak się mały zwał pałacyk, przeznaczony dla pięknych pań, mógłby kroniki opowiadać o tem, co się tam działo. Na żadnym pewnie domie nie spoczywało tyle łez i przekleństw, jak na tym parku Jelenim.

Pewnego dnia rano wyszedł książę Janusz na przechadzkę w stronę owego pałacyku, aby podziwiać wspaniałe ogrody i wodotryski. Było to na wiosnę — i książę szedł żwawo, zachwycony cudnemi widokami, jakie się tu oczom jego przedstawiały.

Nagle wybiegła z za drzew jakaś postać kobieca, otulona dużą ciemną chustką, i błagalnie złożone wyciągnęła dłonie. Książę stanął niezmiernie zdumiony.

— Ratuj mnie pan! — zawołała.

— Kto pani jesteś? — odrzekł książę, — I o co ci chodzi?

— Ach życie moje w niebezpieczeństwie — i więcej, niż życie — mój honor. — —

Książę, zawsze rycerski dla kobiet, ujął jej rękę, i oddalił się z nią szybko z bliskości parku Jeleniego.

Nie pytał o nic, nie badał, zkąd przyszła i co zawiniła, że tak drży z strachu. Wrócił z nią na drogę wiodącą do miasta, i na szczęście spotkał powóz próżny, skręcający także ku miastu.

— Hej, stój! — zawołał na stangreta.

Stangret natychmiast zawrócił konie.

— Chcesz zarobić dziesięć franków? — zapytał książę.

— Bardzo chętnie!

— Więc odwieź nas na Rue de Louxemburg pod numer piąty!

Książę pomógł wsiąść swej pięknej, młodej towarzyszce, zajął sam miejsce obok niej i konie ruszyły.

Ale teraz musiał jej koniecznie stawić kilka pytań.

— Zkąd pani przychodzisz? — zaczął.

— Z parku Jeleniego.

— Ah, to panią trzymano tam wbrew jej woli?

— Tak. Zabrano mnie tam na rozkaz króla, i oznajmiono, że dziś mam go ujrzeć po obiedzie.... — W rozpaczy wytłukłam szybę, rozdarłam moje prześcieradło na kilka części i spuściłam się na niem aż na dół. Przez całą noc błądziłam po parku, nad ranem dopiero udało mi się zmylić straże i przejść przez płot, otaczający cały park. I spotkałam pana, który byłeś tak szlachetnym..... O Boże, czy ja kiedykolwiek będę się mogła panu za to odwdzięczyć!

— Nie żądam wdzięczności! Ale muszę się pani przedstawić — jestem książę Janusz Starzycki!

— A ja jestem córką prokuratora Dose, nazwisko ojca mego jest panu pewnie znane!

— O tak, prokurator Dose zajmuje na dworze wybitne stanowisko, wszyscy podziwiają jego rozum! Powiem zatem woźnicy, aby panią zawiózł do domu.....

I już wyciągnął książę rękę, aby pociągnąć dzwonek, i wydać stangretowi odpowiedni rozkaz, gdy piękna dziewczyna uchwyciła szybko jego ramię i zawołała przerażona:

— Na miłość Bozką, nie odwóź mnie książę do mego ojca, bo on to właśnie sprzedał mnie królowi.

— Ojciec sprzedał panią? Ależ to być nie może!

— A jednak tak jest, przysięgam panu to na zbawienie mej duszy!

— Nie rozumiem tego, — rzekł książę, przekonany, że to jakaś zręczna oszustka, — jak może ojciec własne sprzedawać dziecko?

— Nie zapominaj pan, że to król sam żądał tej ofiary od mego ojca! Zresztą jest ojciec mój chciwym a król dawał mu opactwo w jakiejś bardzo pięknej okolicy! Za dochody owego opactwa można już córkę poświęcić!

Piękna dziewczyna mówiła to z niezmierną goryczą i westchnęła smutnie.

— Więc pani nie chcesz wracać do domu?

— Za nic w świecie!

— W takim razie musisz pani pozostać u mnie. Dam ci stosowne mieszkanie a potem — zobaczymy.

Powóz stanął przed domem księcia, któremu udało się niepostrzeżenie wprowadzić młodą dziewczynę do sieni. Na dyskrecją odźwiernego mógł liczyć napewno.

Gdy kilka chwil później stanął obok ocalonej w swem mieszkaniu, rzekł do niej z wielką łagodnością i serdecznością:

— Proszę, uważaj pani mój dom za swój własny — każę ci przynieść natychmiast ubranie i wszystko, czego sobie życzysz. Służba moja jest na twoje rozkazy.

Po tych słowach wyszedł, a godzinę później przyjmowała go piękna dziewczyna w salonie, i zachwyciła go niezmiernie swoją słodyczą, wytwornością i prześliczną twarzyczką.

Ubrana w ciemną jedwabną suknią, którą jej książę przysłał, wyglądała jak księżniczka, a pomimo, że liczyła dopiero lat dziewiętnaście, zdradzała nadzwyczajne wykształcenie i wielkie przymioty umysłu i serca. Na jednym z bali dworskich miała nieszczęście zwrócenia na siebie uwagi króla, i odtąd zaczęły się jej udręczenia i troski.

Król nie przestawał okazywać jej uczuć, któremi ona pogardzała.

Zasypywał ją formalnie kosztownemi podarunkami i kazał jej powiedzieć, żeby uciekła z domu i przyjęła mieszkanie w jednym z jego pałacy. On sam ofiarował jej całe utrzymanie, godne królowej panującej.

— Ale pani nie zgodziła się na to — zawołał książę Janusz.

— Nigdy!

— Czy dla tego, że kochałaś innego?

— Z czego to wnosisz, książę?

— Bo młoda dziewczyna wtenczas tylko gardzi hołdami króla, jeżeli innemu serce oddała.

— W takim razie jestem ja pierwsza, która tworzę w tym względzie wyjątek, przysięgam bowiem na wszystko, co mi drogie, że oprócz ojca mego żadnego nie kochałam mężczyzny!

— I cóż się stało, gdy pani królowi odmowną dałaś odpowiedź?

— Nie wiem, — odrzekła piękna Klara, — tyle mi tylko wiadomo, że przed trzema dniami wtargnęli żołnierze króla niespodziewanie w nocy do naszego domu i oświadczyli, że ojciec i ja jesteśmy aresztowani. Mój ojciec bardzo był przerażony i oburzony i zapewniał, że ani on, ani ja nie popełniliśmy nic złego, ale dowódzca żołnierzy odrzekł, że jesteśmy oskarżeni o zdradzenie tajemnic dworskich.

— Więc bierzcie mnie, — rzekł ojciec, — ale córka moja nie może iść do Bastylji, na to nigdy w życiu nie pozwolę!

— Córka pana nie pójdzie do Bastylji, tylko do więzienia śledczego, — odpowiedział kapitan, — bo nie możemy na to pozwolić, aby ukryła ważne papiery, znajdujące się tu w domu.

Potem zabrano nas i wywieziono z domu, ojca do Bastylji ,a mnie do — parku Jeleniego! Tutaj wyznaczono mi dwa wspaniale urządzone pokoje i oznajmiono, że ojciec sprzedał mnie królowi, że napad w nocy prostą tylko był komedyą, i że obecnie jestem własnością króla, który mną dowolnie rozporządzać może.

Poznałam teraz całą ohydną prawdę i postanowiłam ratować się ucieczką. Jakim sposobem zdołałam park Jeleni opuścić, o tem już księciu opowiadałam — uciekłam nie ubrana, okryta chustką tylko, ale ocaliłam mój honor.

Książę Janusz głęboko był wzruszony nieszczęściem Klary.

— Widzisz pani, — rzekł serdecznie, — Bóg dopomógł ci — oddał cię w moje ręce, a ja potrafię cię strzedz i bronić przed całym światem! Póki ja nad panią czuwam nikt ci krzywdy nie wyrządzi!

— Ale nie zapominaj książę o niebezpieczeństwie, w jakiem się oboje znajdujemy, — zawołała Klara. — Król ma swoich szpiegów, i ci wnet wykryją miejsce mego pobytu. Jestem nawet przekonaną, że król w tej chwili wie już o wszystkiem, i że wydał już rozkaz wydarcia mnie z rąk pana!

— Niechby tylko spróbował, — odrzekł książę dumnie, — ja nie jestem jego poddanym, i nademną nie ma on żadnej władzy.

— Myślisz pan? O, król na nic nie zważa! Nie cofa on się przed żadnym gwałtownym i niesprawiedliwym czynem, i dla tego błagam pana, strzeż się! Nie wychodź nigdy bez broni — nie można wiedzieć, jakie spiski knuje teraz już król przeciwko panu, jego potęga jest nieograniczoną! Zabiją pana może, a ja — ach, ja będę o wiele nieszczęśliwszą — wolałabym już być zamkniętą w ciemnych lochach Bastyli.....

— Więc płakałabyś pani, — szepnął książę, ujmując

ręce dziewczęcia i ściskając je mocno, — gdyby ci powiedziano, że nie żyję?

Klara spojrzała na niego i dwie wielkie łzy spłynęły po jej ślicznej, bladej twarzy.

— Ty płaczesz? — zawołał książę wzruszony i zachwycony i objął jej postać, — płaczesz już na samą myśl o mej śmierci? Opowiedz mi!

— Tak, — szepnęła Klara, — płaczę, ale nie na myśl o śmierci pana, bo pan nie umrzesz, tylko na myśl o tem, że mnie pan odepchniesz i że wtedy nie pozostanie mi nic innego, jak odebrać sobie życie!

— Nie, Klaro, — zawołał książę, — ja ciebie nigdy już nie opuszczę! Zostań u mnie, ja kocham cię!

Zapomniał on w tej chwili o żonie i o dzieciach — trzymał w objęciach śliczną dziewczynę i całował gorąco jej zarumienioną, jaśniejącą szczęściem twarzyczkę.

I Klara została u niego.

Pragnęła ona jaknajprędzej opuścić Paryż przez wzgląd na księcia, ale książę miał jeszcze kilka spraw do załatwienia i nie mógł wyjechać rychlej jak za dwa tygodnie, a zresztą trzeba mu było przygotować niejedno co do umieszczenia Klary, bo i w domu u siebie, musiał ją ukrywać.

W przeciągu tych dwóch tygodni uszedł książe cudem nieomal śmierci, i to trzy razy.

Raz, gdy wracał w nocy do domu, napadło go kilku mężczyzn z dobytemi szablami, ale książe dzielny i odważny, umiał się obronić. Jednego pchnął szpadą tak, że zabił go na miejscu, drugiego zranił ciężko, uderzając go w głowę, a reszta uciekła.

Klara drżała z strachu, gdy się o tem dowiedziała, książę jednak nazwał to małą tylko przygodą.

Kilka dni później wszedł uśmiechnięty do jej pokoju i zawołał:

— Napijemy się teraz staropolskiego miodu! Nie znasz tego jeszcze, ale jestem pewien, że ci będzie smakować nasz napój narodowy. Jeden z przyjaciół moich przysłał mi kilka butelek. Kazałem służącemu przynieść tu jednę z nich i kieliszki także.....

Ale służący nie przychodził.

Książę, zniecierpliwiony, poszedł nareszcie sam do sali jadalnej i ujrzał tu służącego, leżącego bez duszy na ziemi. Otworzona butelka miodu stała na stole, obok niej kieliszek, do połowy jeszcze napełniony.

— Ah — pomyślał książę, — ten miód jest zatruty! Tomasz spróbował go, i umarł natychmiast!

Resztę miodu kazał zbadać chemikowi, i okazało się, że wszystkie butelki zaprawione były szybko działającą i niezmiernie silną trucizną.

Teraz było też jasnem, że nie jeden z przyjaciół księcia przysłał mu ów miód, tylko, że to była zemsta króla — bo kto inny nie byłby zdołał przekupić zarządu pocztowego i skłonić go do fałszowania adresów.

Książę zaczął spiesznie przygotowywać się do wyjazdu, pobyt w Paryżu był dla niego rzeczywiście bardzo niebezpieczny. Uznał to sam i dla tego pragnął jak najprędzej opuścić stolicę.

Ale w dniu przed wyjazdem o mało nie uległ nowemu zamachowi króla.

Kupił on dla Klary kufer, w który miała zapakować wszystkie swoje rzeczy. Kufer ten był zamówiony u pewnego siodlarza, uchodzącego za bardzo porządnego i uczciwego człowieka. Czeladnik jego przyniósł ów kufer do pałacu i oddalił się szybko.

Książę chciał pomódz Klarze przy pakowaniu rzeczy, ale zaledwie kufer otworzył, krzyknął przerażony, dwie bowiem małe jadowite żmije wysunęły sie z wnętrza i wygłodzone pewnie, lub rozdrażnione ciemnem więzieniem, w jakiem się przez kilka godzin znajdowały, rzuciły się jak szalone na księcia i Klarę. Jednę z nich uchwycił książę tak, że odciął jej szpadą głowę, ale druga ukąsiła go w rękę.

— Biegnij do kuchni, — zawołał książę, — i rozpal żelazny hak od ognia do czerwoności! Ale spiesz się!

Milcząc, wypełniła Klara jego rozkaz i po kilku minutach wróciła z hakiem, już nie czerwonym, tylko białym od gorąca.

Książę tymczasem wyjął nożyk i wykrajał z ręki ten cały kawałek ciała, gdzie go żmija ukąsiła. Potem wziął rozpalony hak i wypalił ranę.

Klara zemdlała, książę natomiast stał spokojny, milczący, z zaciśniętemi zębami, bez jęku, bez słowa skargi. Odwaga jego i przytomność umysłu ocaliły mu życie.

Nazajutrz wyjechał z Klarą z Paryża i oboje przybyli szczęśliwie do Warszawy.

Tutaj wynajął książę wytworne mieszkanie dla swej ukochanej, zaopatrzył ją we wszystko, czego tylko zapragnąć mogła i przyrzekł, że wnet postara się o własny dom dla niej.

Potem wrócił do żony i dzieci.

I teraz zaczął sobie gorżko wyrzucać swoją zdradę względem żony. Nie kochał on jej nigdy wprawdzie, rodzice zmusili go do tego ożenku, ale szanował ją jako matkę swoich dzieci. Oboje udawali miłość, pomimo, że się nie lubili — wówczas jednak zdarzało się to często!

I dziś to się zdarza, — przerwał Bondi, — ludzie pozostali ludźmi, tylko może umieją dziś jeszcze lepiej pokrywać wszelkie uczucia.

— To prawda! Namiętności i skłonności są zawsze te same!

— Opowiadaj dalej, — zawołał Bondi, — historya ta zajmuje mnie niezmiernie!

— Więc książę Janusz wyrzucał sobie zdradę i niewierność, — zaczął Horn znowu, popijając wino, ale z drugiej strony — za żadne skarby świata nie byłby się wyrzekł Klary. Kochał on tę młodą Francuzkę nad życie! Nie czuł się też wcale spokojnym, zostawiając ją samą w Warszawie, miasto to było wówczas znane z rozpusty i lekkomyślności ,i książę drżał na myśl o pokusach, na jakie Klara tam wystawioną być mogła!

Ufał on jej zupełnie, ale piękność jej musiała zwrócić uwagę mężczyzn, a są tacy, którzy nie ulękną się niczego, gdy chodzi o zdobycie pięknej kobiety.

Myślał więc nieustannie o tem, gdzie umieścić Klarę, i wtedy przypomniało mu się nagle, że posiadał dobra w Tatrach o które się właściwie wcale dotąd nie troszczył. Pobierał wprawdzie znaczne z nich dochody, sam jednak nigdy tam nie był. Teraz postanowił jechać do Łąki, pozostać tam pewien czas i wybudować pałac dla swej ukochanej Klary. Wypełnił też natychmiast swoje postanowienie, przyjechał tu dotąd, wyszukał odpowiednie miejsce dla zamku, sprowadził najpierwszych budowniczych i artystów i kazał im wybudować wspaniały zamek w guście francuzkim, na wzór zamku Trianon, zapewniając ich, że o koszta nie chodzi mu wcale.

W przeciągu roku stanął zamek gotowy, książę sprowadził meble z Paryża i gdy wszystko było wykończone, przywiózł tu Klarę i rzekł jej:

— To jest twój dom i wszystko co w nim jest, należy do ciebie!

Odtąd przebywał książę najwięcej w Łące, a Klara kochała go nad wszystko w świecie i wynagradzała mu nieszczęśliwe pożycie z żoną.

We wsi ukazywała się piękna Francuzka rzadko, widywano ją czasem tylko w lesie a każdy, kto ją widział, nie mógł się dosyć nachwalić jej piękności i wdzięku. Cała jednak okolica wiedziała nietylko o jej pobycie w zamku, ale znała nadto pokoje, jakie zajmowała.

Wiedziano ogólnie, że urządziła sobie pokój w wieży na sypialnią, i rzeczywiście można było często widzieć światło w oknach tej komnaty. Wtedy też mówili wieśniacy:

— Francuzka jeszcze nie śpi!

Z czasem stała się owa „Francuzka“ osobą prawie mistyczną, opowiadano niestworzone o niej rzeczy, i jak to zwykle w takich razach bywa, uczyniono z niej prawdziwego anioła.

Ale ona miała być istotnie bardzo dobra. Dawała ubogim hojną jałmużnę, wspierała, kogo mogła, i nikt nie prosił jej daremnie o pomoc. Książę również był łagodnym i sprawiedliwym panem. Kazał tu wybudować szkołę, kościół, i wszyscy kochali go i szanowali w całej okolicy.

Musiał się jednak znaleść jakiś niegodziwy człowiek, który zniweczył szczęście księcia i Klary. O ile bowiem wiadomo, przybyła dnia pewnego czarno ubrana kobieta do zamku — sama podobno księżna.

I wtedy miała się tu odegrać scena okropna. Co się działo, tego nikt nie wiedział, ale koniec był taki, że książę nie mógł się odtąd tak wyłącznie oddawać Klarze. Może być, że później zdołał przebłagać żonę, dosyć, że otrzymał od niej pozwolenie przebywania kilka miesięcy w Łące.

I tak minęły znowu dwa lata.

(Ciąg dalszy nastąpi).